

wet za
wet

3

w spotkaniu
rolników
z robotnikami

startuje magazyn
dla młodzieży

7-10

pióro szuka talentów
muzyczne aktualności, nauka tańca,
Tae-Kwon-Do, młodość w zwierciadle

szczy-
czy-
nia-
na

16

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

5

(120)

KONTAKTY

30 I 1983

Cena

10 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

DANUTA WRONISZEWSKA

Łamanie człowieka

WŁADYSŁAW TOCKI

rio bravo

C o nie miał być! Kraj to nie sześćdziesiąt dziewięć hektarów! Zmachać się można. Odśapnąć trzeba! — U mnie gościnność jest. Łoś pod lufę włazi. Psy zawarczą? Sza! I jest sza. Cisza. A za stołami miejsce jak raz na ognisko. Na rożen. A gościnność, widział, jest.

Ktoś musi wierzyć. A może i te pół bałtyku trzymał, trzymał, rozpić z kim nie miał, więc dziś przed redaktorem postawił?

— Więc szkło o szkło i cyk z Przywódcą Narodu? Lubił wypić?

— Trzy razy w odpoczynku do człowieka zaszedł — wymija Feltowicz. — Posiedział, jak człowiek z człowiekiem pogadał. Gospodarz był, tyle powiem.

— To nie trzeba było rzec mimochodem, między jednym a drugim naparstkami: „Towarzyszu Gierek, maszyn mi brak. A sami wiecie, że bez techniki, postępu, rozbudowy, rozwoju, inwestycji nie dogonimy, nie prześcignimy, nie zmieścimy się. Nie urośniemy w siłę, nie pożyjemy dostatniej”.

Przerywam. Właściwie przerywa mi Feltowiczowe kiwanie głową. Smutne kiwanie, złośliwe, że krok mu tylko do stuk-stuk, palancie, w czółko.

— Nie o takich sprawach rozmawia się z takim człowiekiem — odpowiada dumnie ze zniechęconą nagle siwizną, i wierze, już twardo, w prawo gościnności tej ziemi. — A reszta? Co i jak? Tajemnica! Sza!

CIĄG DALSZY NA STR. 6

— Z tego Newelskiego nawet niezły chłop, ale powiedz pan, co mu odbiło, że pistoletem ludzi straszył?

— Straszył? Jednemu taksówkarzowi postrzelił opony, a drugiego sterroryzował i kazał się wieść gdzieś na zadupie.

CIĄG DALSZY NA STR. 4-5

W następnym numerze: ★ „Co wolno wojewodzie” wyjaśnia Jerzy Zientara ★ Relacja z obrad Wojewódzkiej Konferencji Sprawozdawczo-Programowej PZPR ★ W „Poczcie znachorów polskich” — Stanisław Nardelli ★ „Kontakci” a w nich nowa wersja „Alicji w krainie czarów” ★ Horoskop z Dalekiego Wschodu.

Obradowała Wojewódzka Konferencja Sprawozdawczo-Programowa PZPR w Łomży. Uczestniczyło w niej 239 delegatów, którzy dokonali oceny działalności organizacji wojewódzkiej. Otwierając obrady, I sekretarz KW PZPR, Włodzimierz Michałuk poinformował, iż KC PZPR przyznał pamiątkowe medale z okazji 100 rocznicy polskiego ruchu robotniczego zasłużonym działaczom Ziemi Łomżyńskiej: Bronisławowi Koprowiczowi, Teodorowi Kuczyńskiemu, Władysławowi

tij winno budzić pogłębione refleksje nad istotą czasu minionego, ale również nad tym, co przed nami. Jakże problemy podejmować — jak je rozwiązywać. Wątek ten znalazł pełne odbicie zarówno w dyskusji, jak i w projekcie tezy aneksu do ostatniej Konferencji, który wytycza główne zadania wszystkich instancji: konsekwentna odbudowa autorytetu partii, pozyskiwanie wszystkich środowisk dla realizacji programu socjalistycznej odnowy, aktywne uczestnictwo we wdrażaniu



Winko, Władysławowi Niksie i Janowi Grodzikowi. Wraz z medalami otrzymali oni również imienne listy od I sekretarza KC PZPR, gen. Wojciecha Jaruzelskiego. W szczególności analizę działania partii od III Konferencji Sprawozdawczo-Wyborczej, tow. Włodzimierz Michałuk powiedział m.in.: — Bilansowanie dorobku, ocenianie minionego okresu — wszędzie, a szczególnie w par-

i realizacji reformy gospodarczej, skuteczne rozwiązywanie problemów społeczno-gospodarczych wsi i rolnictwa, wspieranie rozwoju związków zawodowych oraz ruchu porozumienia narodowego. Konferencja, przyjmując te cele podjęła uchwałę jednocześnie nakreślającą drogi ich realizacji. (Obszerna relacja z przebiegu Konferencji w następnym numerze.)

DELEGACJA KOMITETU Centralnego Komsomolu Litwy przebywała w Łomżyńskim. Goście spotkali się z przedstawicielami organizacji młodzieżowych, zwiedzili Łomżę, skansen kurpiowski w Nowogrodzie oraz gospodarstwo młodego rolnika, Jana Ciborowskiego, w Srebrzowie. Przyjął ich także I sekretarz KW PZPR. W trakcie wizyty opracowany został wstępny program przyjacielskiej współpracy między Komsomolem i ZSMP. Już w lutym dziesięciu zesempowców wyjedzie na międzynarodowy obóz młodzieżowy na Litwę, komsomolecy litewscy przybędą na obóz organizowany przez ZM ZSMP w Szklarskiej Porębie.

BEZROBOCIE NIE GROZI NIKOMU — do takiego wniosku dojdzie można analizując rynek pracy. Tylko w styczniu zakłady pracy w Łomży zgłosiły 429 wolnych miejsc. Oczywiście, różnie może to okresowo wyglądać w niektórych rejonach województwa, zważywszy jednak założenia reformy, ogólny bilans jest dość zaskakujący: brakuje rak do pracy.

Z INICJATYWY KG PZPR — w Szepietowie została powołana Tymczasowa Rada Gminna PRON.

wiadomości kulturalne

NOWOGRODZKI SKANSEN Kurpiowski gościł 20 stycznia członków Łomżyńskiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łomżyńskiej. Przy kurpiowskiej choince, wokół płonącego kominka w drewnianym dworze wspomniano dawne świąteczne i karnawałowe tradycje kurpiowszczyzny. Programu dopełniły: skromny poczęstunek i występ kapeli ze skansenu. Uroczysty wieczór był wynikiem starań Marii Chmielewskiej, prezesa Nowogrodzkiego Oddziału TPZŁ i Jadwigi Chętnikowej, kustosa Muzeum Okręgowego.

OBRADOM WOJEWÓDZKIEJ KONFERENCJI Sprawozdawczo-

Programowej, która odbyła się 24 stycznia, towarzyszyła wystawa „Kartki z historii ruchu robotniczego w Łomżyńskim”. Zgromadzone na niej wiele fotografii działaczy Komunistycznej Partii Polski, których działalność w okresie międzywojennym związana była z naszym terenem. Pokazano również liczne ulotki partyjne i protokoły zebrań sprzed pół wieku.

ZESPOŁY KOŁĘDNICZE, szopkowe i „herody” z całego województwa spotkają się 30 stycznia o godz. 11.00 w Gminnym Ośrodku Kultury w Nowogrodzie. Przegląd, wznowiony przez Wojewódzki Dom Kultury po dziesięcioletniej przerwie, będzie konfrontacją stanu posiadania w tej, bujnie kiedyś rozwiniętej, dziedzinie kultury ludowej.

książka dla seniora

Polski Komitet Pomocy Społecznej w Łomży przekazuje w dniu 1 II br. do użytku Klub Seniora przy ul. 22 Lipca 4 (po barze mlecznym). Za naszym pośrednictwem prosimy wszystkich obywateli miasta i województwa o wyposażenie tej placówki złotego wieku w księgozbiór. Dary książkowe będą przyjmowane w siedzibie Klubu (wejście od ul. Sienkiewicza) przez dwie niedziele — 30 I i 6 II br. — w godz. 10.00—18.00. Z góry ofiarodawcom dziękujemy.

resowanych instytucji oraz zakładowych je o przedstawicieli zainteresowanych pracy; przyspieszyć uruchamianie Miejskiego Klubu Myśli Społeczno-Politycznej.

DO KLUBU KSIĄŻKI „Nowej Wsi” dla dzieci i Nastolatków „Bratek” przystąpił Zarząd Wojewódzki ZMW, aby pomóc w dotarciu najciekawszych wydawnictw na wieś. ZW ZMW zakupiło już wiele ciekawych pozycji dla bibliotek.

KLUB WIEJSKI Z KUCZYNA znalazł się w gronie siedemnastu najlepszych w tradycyjnym konkursie Zarządu Głównego RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Ministerstwa Kultury i Sztuki, ZG ZSMP i ZK ZMW — „Złota siedemnastka”. Gospodarz klubu, Danuta Małewska, spędziła w nagrodę cztery dni na wycieczce w Budapeszcie.

KAZIMIERA MODZELEWSKA z Łomży 41 lat przepracowała jako nauczycielka. Od 12 już lat przebywa na emeryturze, lecz nadal całkowicie poświęca się pracy społecznej i dzieciom; m.in. aktywnie działa w Towarzystwie Przyjaciół Dzieci. Sama też stworzyła rodzinny dom czwórce wychowanków Domu Dziecka. Z okazji 80 urodzin do życzeń dla Jubilatki dołączają również „Kontakty”.

Z OKAZJI DNIA BABCI delegacja Zarządu Wojewódzkiego ZMW odwiedziła najstarszą 108-letnią mieszkankę województwa z Nałęczowa w gminie Zambrów, Wandę Krajewską. „Kontakty” życzą następnych 108 lat!

48 OSOB PONIOSŁO ŚMIERĆ, a 375 zostało rannych na łomżyńskich drogach w roku 1982. Główne przyczyny wielu tragedii ująć można w dwa słowa: bezmyślność i alkohol. Tylko z powodu wyczynów w stanie nietrzeźwym zginęło 19 osób.

„KONTAKTY” W KIOSKACH WARSZAWY, Łodzi, Wrocławia, Gdańska, Olsztyna! Witamy Czytelników od dawna sercem związanych z Ziemią Łomżyńską; pragniemy także zbliżyć ją tym, którzy jej nie znają. Liczymy na szczere, życzliwe kontakty z wszystkimi. Czekamy na przyjazne spojrzenie z boku. Nasze łamy, nasza redakcja — zawsze otwarte!

PERSONALIA. Obowiązki pełnomocnika-komisarza KOK objął p.k. dypl. mgr Stefan Kołasa z Warszawskiego Okręgu Wojskowego. Odechodzącego dotychczasowego komisarza, p.k. kmdr. Józefa Jaronia Wojewódzka Rada Narodowa uhonorowała odznaką „Za zasługi dla województwa łomżyńskiego”.

Papież Jan Paweł II mianował biskupem ordynariuszem diecezji łomżyńskiej (po zmarłym w ubiegłym roku bp. Mikołaja Sasnowskim) biskupa Juliusza Paetza.

gościli w Łomży

♦ Mirosław Milewski, sekretarz KC PZPR; Jerzy Wojciecki, minister Rolnictwa; Krystyna Kostro, członek CKKP; Stanisław Godziński, kierownik Wydziału Społeczno-Zawodowego KC. Osoby te uczestniczyły w Wojewódzkiej Konferencji PZPR.

♦ Mikielinas Walentinas, sekretarz Komitetu Centralnego Komsomolu Litwy, i Małakauskas Widmantas, sekretarz do spraw współpracy z zagranicą — na zaproszenie ZW ZSMP w Łomży.

pytanie drażliwe

— Ginę koła, chuligani włamują się do bagażników, tną nożami opony, a parkingi i ulice, szczególnie na osiedlu Jantar nadal toną w ciemnościach: czyżby Rejon Energetyczny dogadał się z opryszkami?

Odpowiada Maciej Schild, kierownik Wydziału Ruchu Rejonu Energetycznego Łomża: — Interwenujemy u nas w tej sprawie mieszkańcy są również bliscy podobnych pytań. Tymczasem winni są niektórzy z nich samych. My bowiem to, co do nas należało, zrobiliśmy: zainstalowaliśmy latarnie, podłączaliśmy je do sieci, nie stosujemy oszczędnościowych wylazów. Dlaczego więc nadal jest ciemno? Po prostu zamiast kupić potrzebny bezpiecznik wielu woli go ukraść z wnek w słupach, które niestety bardzo łatwo otworzyć. Pomysłeliśmy już jednak nad nowym sposobem zabezpieczenia, i gdy tylko uporamy się z awariami, które spowodowały ostatnie wichury, przystąpimy do wymiany zamknięć, za którymi znajdują się tak łakome, bo defektywne bezpieczniki.

punkt widzenia

Przed wspólnym pienarnym posiedzeniem KC PZPR i NK ZW Witold Malinowski (członek KC PZPR) i Józef Randzio (członek NK ZSL) spotkali się z rolnikami posiadającymi wyższe wykształcenie, posłuchać ich uwag i opinii. Zamówione wówczas postuluły uznano za punkt widzenia problem rolnictwa całej polskiej wsi.

MICHAŁ CEBELIŃSKI: — Powinno wreszcie wywalczyć różnicowanie podatków zależnie od regionu. My płacimy drogę, na barzo złych ziemiach a podatek płacimy identyczny jak ci z Zielonogórskiego czy z Zielonogórskiego. Jak tam z hektara mają 40 kwintali, a ja z hektara tylko 15 wyciągnę, lenieć mi las posadzić.

RYSZARD GRODZKI: — Nigdy się nie wierzy, gdy rolnicy mówią, że robią kłopoty. W końcu przychodzi załamanie wtedy miasto zaczyna szumieć. Rolnicy mają wpływ na politykę rolną. Każdy producent najchętniej sprzedałby towar jednostce społecznej, bo szybko, pewnie, wygodnie, ale oficjalne ceny nie mają oświecenia, nie, to sprzedają gdzie indziej.

STEFAN KALINOWSKI: — Zasadniczo rolnictwa przez przemysł niby walczy z 4 do 6 proc. Ale co to daje, jakosć spada ogromnie. To skandal, nowitka maszyn wieść do naorania to się nazywa oszczędność, postęp? Inwestycja jest niesprawiedliwie podzielona między regiony i brak inwencji władz wojewódzkich w tej sprawie. Byłem niedawno pod Tarnobrzemem, by kupić w fabryce przetrząsacz-zgrabiarkę za 48 tysięcy. Dyrektor zakładu dziwił się, że po telewizyjnej ofercie zjawiają się tu indywidualni rolnicy, a nie było żadnego zbiorowego zamówienia z województwa.

ZENON POWICHROWSKI: — Ja kłopotu kurłem maszynę w sklepie Białymostku. Niestety, na dowód ostateczny kuzyna, bo tam uważają, że ostateczny powinien być w Łomży.

ANTONI BUKOWSKI: — Teraz precyzyjnie nie raczą nawet nakleić na worek etykiety, co to np. za pasza, jakiej skład. Skąd mamy wiedzieć, jak przygotować rację paszową, a nie kryzysie winniśmy robić to racjonalnie niż dyktownikiem.

WALDEMAR MARCHEWSKI: — Wsi i w mieście. Interesuje mnie, w jaki sposób się tego dokona oraz jak uporządkuje się bałagan pałacowy. Na cie pięć pracowników naszego GS-u dzę po 18—22 tysięcy za 8 godzin pracy. Tego rolnik za całodzienną pracę nie zarobi, a po ostatniej telewizyjnej wypowiedzi ministra Finansów tylko nie widzę szans na poprawę, obawiam się, że poziom życia na wsi obniży. Nie wolno odstępować od tak spraw; przestrzeganie terminów, bieżące poszczególnych ministrów — tych wykrytów, zwalania winy na „zys”, bo tuż go mamy od dawna i w mi, na co nas stać, a nikt nie wymusza nierealnych zobowiązań; wprowadzenie cen krocących, w proporcjonalnych maszyn i środki do produkcji rolniczej, ustalenia sensownych relacji cenowych, głównie między zbożem, mlekiem i sem.

Jak zostały przyjęte obrady i chwały wspólnego Plenum KC PZPR i NK ZSL; co uspokoiło, co nadreży obawą? Refleksjami dla się łomżyńscy rolnicy.

LUCJAN KRUSZEWSKI z Gardu (gm. Zambrów): — Od gadania nic nie przybędzie, ale wierzę, że jeśli wi się o naszych bolączkach, tak soko, to chyba musi się coś zmienić. Obawiam się tylko, że słowa forowaniu najlepiej gospodarujących odbieraniu słabym, skrzywdza zbyt lu. W mojej wsi, na przykład, nie ma ci, którzy mają krewnych Stanach lub sami tam pracowali dwa, a kto leży na własnych siłach wysoko nie podskoczy.

MAREK PASZKIEWICZ z Grzymal (gm. Zambrów): — Tak dużo o rolnictwie nie już nie mówiono. Nadzieje i dążenie są, aby tylko były realizowane.

JÓZEF KOMOROWSKI z Chomeli (gm. Sniadowo): — Jeżeli ziści się wszystko, o czym tam radzili, to na nie będzie lepiej i nam, chłopom, i botnikom. Przecież ja zawsze pany sprzedaję, bo komu mam sprzedać, jednocześnie chcę coś kupić za pieniądze, zainwestować w moje gospodarstwo, bo inaczej ono mi podupnie i pójdzie z torbami. Na snopowizakę kam już kilka lat, a przecież jest potrzebna mi co roku.

STANISŁAW KOZIKOWSKI z Ków (gm. Kolno): — Obrady mają znaczenie dla rolnictwa, Przecież odbyło się takie Plenum, żeby raz zawsze te uciążliwe problemy rozwiązać. Wydaje mi się, że idzie na lepsze. Może nareszcie zacząć traktować nas równi z robotnikami, a nie po macoszemu.

WŁADYSŁAW OGRODNIK, rolnik-ryt w Trzcinach (gm. Wysokie): — Właściwie to tak bardzo nie sledzi obrad. Dosyć się nasłuchałem przeznych programów za czasów mojegospodarzenia. Ale może wreszcie, przekonaniu się, że pokrzykiwania chłopu i wszelkie próby zepchnięcia na vegetację niewiele skutkują, zacząć się dziać w naszym kraju coś nowego. Ziemię moją zdałem jeszcze wprowadzeniem ustawy o emeryturach dla rolników, przez wiele dostawałem 750 złotych. Teraz podni mi na 3500, ale żona nie dostaje grosza. Może następną po nas emerytujemy otrzymamy na starość tyle im się naprawdę należy. Pienię było przemyślenie również i do tego.

Od dłuższ trwają pos ku artykuł wości pop wsi. W tej wyróżnia spraw rolniczenową. się we ws scach i w r karze wyp dżają tysią czyć jak a nikowi.

Do urzęd chodźć dró rzędnicy i Kółek Roln czych robią nikowi dok wić. A więc temu biedn grzbietu ni boty i bicia ministracji, właśnie, sk dach gminn wiedzą, jak podarstwie lem tych ur miasta jest wany sposó To miejskie ce stanowi weale proble godziny pię wszystko ro tem wyjeżd wać.

Takie wła słuchaniu ro niu prasy n kiś dziennik ilu to ludzi, cych nie ws „siedzi” na nych ośrodi stwowej. I ciekawy obr najęcej się j z tej samej. Spółdzielni mechaniczami zytarami, cz nie członkow

Czyżby siad dziennie za swoim pocho głąda prac go powinien na temat pr do premiera

Spiewa się miasta jeżdż ny na wies. stach mieszki chodzących właśnie im mieszczucho

Wiesz rząd ludźmi. Poch w mieście, tylko wtedy bie o otrzy cy. Chyba n się „fachow by uświado to ich własn dów robią i odpowiedział sługi, za ork wojewoda?

Należy zas co zrobić i skim rodow dla rolników

Mam nadz ze mnie pro do głębszych się zlokalizo tu urzędnik no nie będzi dowaniu tak rodowej.



kontakty kontaktów

Od dłuższego już czasu w Polsce trwają poszukiwania winnych braku artykułów rolnych oraz możliwości poprawy gospodarowania na wsi. W tej potężnej gamie dyskusji wyróżnia się sposób załatwiania spraw rolników przez administrację terenową. Dyskusja taka odbywa się we wszelkich dostępnych miejscach i w różnym czasie, a dziennikarze wypisują długopisy i wyjeżdżają tysiące kilometrów, aby zobaczyć jak administracja dokucza rolnikowi.

Do urzędów gminnych trzeba wychodzić drożki, by coś załatwić. Urzędnicy i pracownicy Spółdzielni Kółek Rolniczych i Kółek Rolniczych robią wszystko, by tylko rolnikowi dokuczyć i nie mu nie załatwić. A więc wszyscy są przeciwko temu biednemu rolnikowi, który grzbiotu nie może odchylić od roboty i bicia pokłonów gminnej administracji, która składa się... A właśnie, skąd nabrało się w urzędach gminnych tyle ludzi, którzy nie wiedzą, jak wygląda praca w gospodarstwie i na roli? Jedynym celem tych urzędników dowożonych z miasta jest męczenie w wyrafinowany sposób miejscowego rolnika. To miejskie „tatajstwo”, zajmujące stanowiska w gminach, nie zna wcale problemów wsi. Zawsze do godziny piętnastej usiłuje zrobić wszystko rolnikowi na złość, a potem wyjeżdża do miasta odpoczywać.

Takie właśnie ma się odczucie po słuchaniu różnych dyskusji i czytaniu prasy na ten temat. A może jakiś dziennikarz zbadałby problem, ilu to ludzi, od pokoleń nie mających nic wspólnego z rolnictwem, „siedzi” na stanowiskach w gminnych ośrodkach administracji państwowej. Pewnie otrzymalibyśmy ciekawy obraz. Przecież w gminach najczęściej pracują dzieci rolników z tej samej, albo sąsiedniej wsi. W Spółdzielniach Kółek Rolniczych mechanikami, traktorzystami, dyspozytorami, czy kierownikami są właśnie członkowie rodzin rolniczych. Czyżby siadając na kilka godzin dziennie za biurkiem zapominali o swoim pochodzeniu i o tym jak wygląda praca na roli? A rolnik do kogo powinien zgłaszać swoje uwagi na temat pracy tych urzędników — do premiera, do wojewody?

Spiewa się piosenki, że ludzie z miasta jeżdżą po żywność do rodziny na wies. To prawda, że w miastach mieszka bardzo dużo ludzi pochodzących ze wsi. To prawda, że właśnie im pomaga wies, a nie mieszcuchom z ojca i dziada.

Wies rządzi się sama, swoimi ludźmi. Pochodzący z niej pokazują w mieście, jak można dobrze żyć, tylko wtedy nie przypominają sobie o otrzymywanej ze wsi pomocy. Chyba nie bez przyczyny mówi się: „fachowiec za masło”. Należałoby uświadomić ludziom ze wsi, że to ich własne dzieci i dzieci sąsiadów robią im krzywdę. Bo kto jest odpowiedzialny za wykonanie usługi, za orkę — traktorzysta czy wojewoda?

Należy zastanowić się nad faktem, co zrobić i jak, by ludzie z wiejskim rodowodem nauczyli szacunku dla rolników.

Mam nadzieję, że poruszony przeze mnie problem wielu sprawi do głębszych przemyśleń. Może uda się zlokalizować przyczyny konfliktu urzędnik — rolnik co na pewno nie będzie bez znaczenia w budowaniu tak potrzebnej zgody narodowej.

Hubert Karwowski
Łomża

STANISŁAW ZIELIŃSKI: — Łomża podwoiła w ostatnich latach liczbę mieszkańców. Osiągnęła to przez nieustanny napływ ludności wiejskiej, która natychmiast przestawała się w „mieszkańców”, i na tyle zmieniła skórę, że zaczęła narzekać na niedawnych sąsiadów zza miedzy. W kolejkach, w urzędach, na targowiskach, a nawet w rodzinno-towarzyskich kontaktach często dochodzi do skrzyżowania szpad pomiędzy przedstawicielami wsi i miast. Przeżywamy chyba szczególny moment antypatii wzajemnej tych obu środowisk.

wet za wet

ZYGMUNT JUST: — Antagonizm między miastem i wsią nasila się wtedy, gdy robotnik musi ustawiać się w długiej kolejce po żywność, a chłop, w poszukiwaniu choćby prostych narzędzi, zjeżdża cały kraj, aby w końcu nabyć je, za kilkakrotnie wyższą cenę, od spekulanta.

ZYGMUNT DZIEKOŃSKI: — Trudno się nawet dziwić, że pierzcha wówczas sojusz robotniczo-chłopski, bo mieszkańcy miast myślą tak: nie

ktos celowo szczuł na „leniwych i pazernych” rolników miasto, podobnie jak i teraz. Otóż głosi się, że mamy pełne stodoły zboża, lecz nie chcemy go oddawać państwowym punktom skupu. Szkoda na takie drętwe gadki czasu! Chłop zawsze chętnie sprzeda swoje płody, jeśli mu się to opłaci. Zamiast posądzać go o chomikowanie, należy unormować ceny.

JANINA WRÓBLEWSKA: — Narzekacie na niską cenę zboża, ale sami chętnie kupujecie tani chleb, zboże zaś wieziecie na rynek, by sprzedać je, zamiast za 1400, za 2500-

-3000 złotych. Gdybyście tyle samo otrzymywali w punktach skupu, wartość kromki chleba równałaby się cenie dziesięciu dekagramów polędwicy!

ZYGMUNT DZIEKOŃSKI: — Słusznie, tylko że kiedy chcę kupić jakąkolwiek szubkę, tyle samo przepłacam, a do każdego tucznika o wadze 120 kilogramów muszę dołożyć cztery tysiące złotych. Skutki wiadome: w punktach skupu coraz

O stosunkach wiejsko-miejskich, wzajemnych pretensjach i podejrzeniach oraz potrzebie współdziałania mówią robotnicy: Janina Wróblewska i Krzysztof Balaży (Łomżyńskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego „Narew”) oraz rolnicy — Rafał Ciemienniewicz (Jędrzejki), Zygmunt Dziekoński (Konarzyce), Stanisław Karwowski (Podgórze), Zygmunt Just (Łomża).

dość że ci żywicieli narodu skapią nam tuszczu i jaj, to jeszcze wykupują resztki towarów ze sklepów.

JANINA WRÓBLEWSKA: — Rolnicy także nie wyrażają się o nas w superlatywach. Zamiast rzetelnie pracować, odpływają osiem urzędowych godzin, a potem rozpoczynają rajskie życie: kąpiemy się w ciepłej wodzie, ładnie ubieramy i idziemy na spacer lub odpoczywamy w głębokich fotelach przed kolorowymi telewizorami, podczas gdy chłop tyraja od rana do wieczora gołymi rękami, by nas, obiboków i leniuchów, wyżywić.

ZYGMUNT DZIEKOŃSKI: — Nieufność wzajemna posunęła się tak daleko, że rolnik bał się w mieście kupować chleb. Wszyscy w kolejce krzyżeli, że bierze go dla świń, jakby mąki miało nagle zabraknąć. A przecież wystarczyło jej dla wszystkich, tylko wies wypiekać nie miała gdzie, bo polikwidowano małe piekarnie w gminach, a na dokładkę zredukowano liczbę młynów.

RAFAŁ CIEMIENIEWICZ: — Trudno teraz wymagać, aby nasze kobiety powyciągały dzieje i gnioty ciasto co dwa tygodnie, kiedy tak łatwo pozbyły się tej uciążliwości, a i bez niej mają co robić.

ZYGMUNT JUST: — Nikt nie pamiętał tych błędnych pociągnień, dotyczących piekarni i młynów, ale też

więcej macior. Zawsze, a szczególnie przy założeniach wprowadzanej reformy, motorem czegośkolwiek są przewidywane efekty. Rolnikowi musi się opłacać i hodowla trzody, i produkcja mleka, i plantacja zboża. Jeśli robotnikowi nie odpowiada stanowisko, zwalnia się i idzie gdzie indziej. Chłop wyboru nie ma, a kiedy szuka możliwości zarobku poza punktem skupu, syją się na niego gromy.

STANISŁAW KARWOWSKI: — Stanowisko jednego robotnika kosztuje ponad milion złotych. Państwo mu je funduje i dodaje jeszcze różne drobniaki, od proszków i past po ręczniki. Kto i co daje rolnikowi?

RAFAŁ CIEMIENIEWICZ: — Chłop dostaje tylko szansę pracy. Może robić tyle, ile uciągnie. A płony musi sprzedać. Tylko że zakład ma przywileje ustalania cen na swoje produkty, zaś chłop wyręcza państwo.

STANISŁAW KARWOWSKI: — Kieruje się przy tym troską o to, żeby rolnik za dużo nie zarobił. My braliśmy za ziemniaki 600—900 złotych; dlaczego robotnik płacił w sklepie aż 15 złotych za kilogram?

ZYGMUNT JUST: — Handel okrada nie tylko robotników. Już od kilkunastu lat oddaje mleko do

mleczarni i zawsze było dobre. Po wprowadzeniu nowych norm przyszło nagle pismo, że mleko ma zły ciężar właściwy. Jeszcze nie zbadali przyczyn (od czerwca nie odpowiadzieli na moje podanie), ale od razu zmniejszyli mi należność o siedem tysięcy złotych!

JANINA WRÓBLEWSKA: — Gdyby się człowiek zastanawiał, jakie to mleko jest czyste, to by chyba nie pił nawet gotowanego.

STANISŁAW KARWOWSKI: — Na pewno czyste nie jest i każdy rolnik o tym wie. Ale może nam pani powie, gdzie możemy kupić choćby wiadro czy szmatkę? Moja żona rwie stare prześcieradła i przez nie cedzi mleko; ale wiader nie da się rozmnożyć. Zostały mi tylko dwa: noszę nim wodę, świniom żarcie, no i mleko. Upominaliśmy się w mleczarni; załatwia to już prawie drugi rok.

JANINA WRÓBLEWSKA: — O czystości mleka nie decyduje tylko wiadro i szmatka do cedzenia, ale i higiena w oborze. Przeważnie robi się tak: gdy wymię jest oblepione nawozem, bierze się wiecheć słomy i ociera je z grubsza. Potem nie cedzone mleko wlewa się do brudnej wirówki, aby oddzielić śmietanę. Pomyślcie, panowie rolnicy, ile razy w podobny sposób postępujecie również wy. A przecież można, przyniesie ze studni wody, nagrzać ją i umyć to wszystko po kolei: wiadro, wymię i wirówkę. Ale chyba nie spotkaliście się tutaj po to, aby wzajemnie na siebie narzekać. Pomyślny raczej, w czym moglibyśmy sobie pomóc.

STANISŁAW KARWOWSKI: — Czyż nie pomagamy? Wielu z miast przypominało sobie nagle o rodzinach na wsi; przyjechało do nich na żniwa, na wykopki... Zacieśnił się sojusz robotniczo-chłopski.

JANINA WRÓBLEWSKA: — Ciekawa jestem, kto na tym rodzinnym sojuszu wychodzi korzystnie: rodzice na wsi czy ich dzieci w mieście? Uważam, że młodzież nie uciekałaby z rodzinnych gospodarstw, gdyby w mieście musiała żyć tylko z pracy swoich rąk. To wy kupujecie jej mieszkania, meble, samochody, no i zaopatrujecie piwnice oraz lodówki. Gdyby natomiast wasz syn czy córka zarobił przez miesiąc, tak jak ja, siedem tysięcy, musieli za to opłacić stancję, ubrać się i wyżyć, bardzo szybko by do was powrócili.

KRZYSZTOF BALAZY: — I proszę teraz porównać start życiowy rolnika i robotnika. Pracujemy na zmiany w bardzo złych warunkach: w ogromnym hałasie (ponad 110 decybeli), przy wysokiej temperaturze i wilgotności. Po kilkunastu latach będziemy ludzkimi wrakami i nie dorobimy się choćby samochodu. Nasze dzieci będą startowały również od zera, bo nawet nie możemy im przekazać swoich spółdzielczych mieszkań. Wasze ruszają w dorosłe życie kompletnie wyposażone.

ZYGMUNT DZIEKOŃSKI: — My niby mamy więcej pieniędzy, ale wam przydzielają talony na buty, pościel... I jakieś tam skarpetki są rozprowadzane, i bielizna, a nawet dywany, które by także pasowały do wiejskiego mieszkania.

RAFAŁ CIEMIENIEWICZ: — Mój syn, który kończy teraz technikum, mówi, że życie na wsi to zesłanie. I ma rację, bo nawet żony sobie nie znajdzie. Dziś dziewczyna woli wyjść nawet za miejskiego szmaciarza niż za bogatego rolnika, choćby miał dom, ciągnik, a nawet samochód. Dlaczego? Bo wie, że na wsi będzie musiała harować, a w mieście odpracuje przeciętnie 200 godzin na miesiąc, weźmie urlop macierzyński, trzy lata na wychowanie dziecka, potem jeszcze wypoczynkowy; ma wszystkie wolne soboty i 8—9 tysięcy pensji. Na gospodarce się nie wystroi, urlopu nie weźmie, a ryk głodnego bydła z każdego łoża boleści ją podniesie.

ZYGMUNT DZIEKOŃSKI: — Znówu narzekamy, a ja uważam, że chłop i robotnik powinni żyć w wielkiej komitowie, bo jeden dźwiga produkcję, a drugi — żywność. I obaj nie mogą dopuścić do tego by między nich wszedł ktoś trzeci.

Notował
STANISŁAW ZIELIŃSKI
FOT. GABOR LÖRINCZY

Oto fragment dyskusji z cyklu redakcyjnych sondży, których celem jest poznanie postaw ludzkich i relacji środowiskowych. Może ktoś z Czytelników chciałby — na podstawie własnych obserwacji — uzupełnić ten, ledwie tchnięty przecież, temat dzisiejszych stosunków między miastem a wsią.

3

KONTAKTY
30 I 1983

Kontakt



W końcu października i w listopadzie niejednokrotnie słyszałam „na mieście” podobne opowieści. Choć niefortunne zajście miało miejsce około północy i było niewiele świadków incydentu, plotka o terrorystycznym wyczynie prezydenta miasta szybko obiegła Łomżę.

20 października ub. roku do redakcji wpłynął odpis skargi Henryka Jurkowskiego, łomżyńskiego taksówkarza, do Prokuratury Rejonowej w Łomży. Inne odpisy zostały zaadresowane do KW PZPR, wojewody łomżyńskiego, komisarza wojakowskiego, WRON. Piszący stwierdzał, że prezydent Łomży, Jerzy Noweński, zachował się niezgodnie z prawem i opisał swoją wersję wydarzeń nocy z 17 na 18 października:

[...] W momencie opisywanym na postoju znajdowały się tylko dwie taksówki osobowe. Zauważyłem stojącego mężczyznę w starszym wieku na postoju „TAXI”. Podszedł do mojego wozu, otworzył przednie drzwi, usiadł na przednim prawym siedzeniu i zaczął wypytywać mnie o nazwiska kierowców. Odpowiedziałem, że nie znam nazwisk wszystkich kierowców i odmówiłem udzielenia dalszej informacji stwierdzając, że ów mężczyzna jest w stanie bardzo nietrzeźwym. Dalej, kategorycznie zażądał, by podwieźć go pod Urząd Miejski w Łomży nie mając zamiaru opuszczenia taksówki. Zapaliłem silnik i włączyłem taksonometr odjeżdżając z miejsca postoju. Gdy zjeżdżałem z ronda ów mężczyzna ułożył prawą rękę do lewej kieszeni wewnętrznej swojej marynarki i wyciągnął pistolet. Ustyszałem trzask pistoletu, wówczas zorientowałem się, że został on odbezpieczony i załadowany. Będąc zaskokowany tą okolicznością nie potrafię podać marki pistoletu, a to i na porę nocną. Mimo wstrząsu jazdy kontynuowałem dalej obserwując pasażera. Zatrzymałem się zgodnie z jego życzeniem na parkingu przed Urzędem Miasta żądając należących mi zapłat w kwocie 34 zł. Pasażer trzymając pistolet na kolanach, a na nim prawą ręką - lufą skierowaną w moim kierunku, lewą ręką podając banknot pięćsetzłotowy zażądał jazdy na ulicę Zatylną, która nie posiada oświetlenia ulicznego. W tym momencie odmówiłem kontynuowania jazdy przyjmując kwotę 34 zł, z wydaniem pasażerowi prosząc go grzecznie o opuszczenie samochodu. Pasażer zażądał ode mnie okazania koncesji wypowiadając słowa „Ulic nie znamie». Odpowiedziałem, jeżeli pan wytrzeźwieje wtedy okaże tzn. jutro. Jednak na trakcie rozmowy wykorzystałem jego nieuwagę, wyskoczyłem szybko z samochodu, otworzyłem przednie prawe drzwi i

chwytając za prawą rękę pasażera wyciągnąłem go z samochodu. W wyniku tego działania pasażer znalazł się w odległości około pięciu metrów od samochodu, zaś pistolet upadł przy samochodzie. Tu potrafię rozpoznać w/w pistolet w przy-

stwie drugiego młodego mężczyzny. Szybko wsiadłem do wozu ryglując drzwi od wewnątrz. Obydwaj mężczyźni podeszli do mojej taksówki wypowiadając ogrom wulgarnych słów. Młodszy uderzył prawą pięścią w szybę przednich lewych

Wiedział już jednak od kolegów, że to prezydent, bo jego syna, niedawna także taksówkarz, wszyscy dobrze znali. Henryk Jurkowski twierdził jednak, że nie znał ani jednego, ani drugiego, a o tym, że „tyt” z pistoletem jest prezy-

szafę. Zona
im butelkę
trzy niewie
lacja, dzien
Dopiero po
wyjścia. By
chłodno, sz
niture. Al
na postoj
— znów s
czekają n
pijanych g
kierowcom
liśmy naw
„Parking”
tari” — te
ich tłumacz
awarii. Po
was karzą,
i polucje
Proszę stą
stojącego p
dodałem,
„Tylko w
wam opony
bocze, a na
wołga, do k
siłem o kur
godzinach u
Urzędu nie
leczył do 'Zat
zna takiej
zrekompens
stosunku do
wiedziałem,
Urząd Mias
„Co to za
cesje ludzior
nych ulic B
stwierdziłem
innym garn
łem: „Wie p
pan mnie te
ale ponieważ
proszę z po
się wtedy ba
żądał zapła
wydawał re
siłem o odw
szalem: „S
Zagroziłem,
noże go ko
szedł z woz
ym gestem
dowaną odr
niespodziewa
głowę i ram
Spadłem na
ana. Gdy sp
dziwnie sp
zucił się
drzwi zam
chwili zroz
ciu zerwała
pistoletu, kt
u wprowad
Zabura' wisi
widok tak p
mie. Lewe o
ie i łzawili
łomu. Spotk
ał do siebie
żół, który k
ził. Wsiadli
dać się po
ówkarzy, wł
odjeżdżając
nów tę wob
ierowca nie
ziąć. Miał d
odjechał p
Garaż zjawił
IO. Zapytali
rosili, bym
tamtąd prze
nendy Miast
proponowa
y celu stwie
oholu. Odpo
otrzeby, gdy
zjazdu. Odwie
fastnego c
arza, gdyż c
onał obdukc
głosiłem się
ddano mi —
ania jej, zar
dy chciałem
urkowskiego

człowieka

drzewi, starszy zaś trzymał prawa rękę w prawej kieszeni spodni. Zapaliłem silnik i bystro udałem się na KW MO zawiadamiając funkcjonariusza dyżurnego o zaistniałym zajściu i posiadaniu broni palnej przez w/w starszego osobnika".

Potem wkroczyła milicja, do której ob. Jurkowski nie ma większych pretensji, nawet o to, że przymknęła go do rana w areszcie. Otrzymał bowiem wyjaśnienie — rzekomo od sierżanta MO — że zatrzymano go na rozkaz prezydenta, który jest zwierzchnikiem komendanta.

Bzdura, choć podparta autorytetem sierżanta, pozostaje bzdurą. Okazuje się jednak, że nie dla wszystkich. Zapewniam więc i pana Jurkowskiego i innych mało wtajemniczonych w zawilóści prawne, że na razie w Polsce prezydenci i naczelnicy nie mają uprawnień amerykańskich szeryfów

Cytowana skarga Henryka Jurkowskiego wzbudziła we mnie także wiele innych wątpliwości: Dlaczego ruszył z postoju, skoro już wtedy stwierdził, że gość jest „moćno nietrzeźwy”? Dlaczego pasażer najpierw płacił, a potem kazał się wieźć na Zatylną? Podziwiać też należy niezwykłą odwagę taksówkarza, który chwytając za kark faceta z pistoletem gotowym do strzału i odrzuca go na 5 metrów. Dlaczego nie zabiera leżącego tuż przy wozie pistoletu i z tym niepodważalnym dowodem nie jedzie na posterunek? Dlaczego nie pojechał od razu na komendę, lecz do kolegów — zapytać, co to za gość? I jeszcze jeden heroiczny gest: gdy „groźny bandzior” wracał do taksówkarza z drugim, młodym (niewykluczone, że uzbrojonym), wtedy dzielny kierowca — zamiast zmykać — czekał na nich w zaryglowanym wozie. Nierwy nie wytrzymała dopiero „ogromny wulgarny słów” Henryk Jurkowski pojechał na milicję.

tem dowiedział się dopiero w Kromendzie. Już po umorzeniu przez Prokuraturę śledztwa opowiada: Mam prawo nie brać pijanych, ale jestem uczciwym i żal mi się zrobiło starszego, podpitego gościa. Zresztą z początku jego zachowanie nie budziło najmniejszych podejrzeń. Gdy wyciągnął pistolet, zatkało mnie. Kiedy zatrzymałem się przed Urzędem, zażądał podwiezienia na Zatylną. Myślałem, że to pułapka, że tam może czeka większa banda i odmówiłem. Wykorzystałem moment, gdy patrzył na wydanie resztę — 466 złotych i wyciągnąłem go z wozu, ale oka mu nie uszkodziłem. Rzeczywiście szkoda, że nie wziąłem tego pistoletu, człowiek jednak w zdenerwowaniu nie myśli dobrze. Dlatego też tak, a nie inaczej zachowałem się potem na postoju Gdyby Newelski przedstawiał się, że jest prezydentem, zawiązbym go na Zatylną bez najmniejszej dyskusji. Potem też bym się nie skazywał nigdzie na niego. Zresztą od niedziałku aż do czwartku nie przeছিw niemu nie robiłem, dopiero gdy dostałem zawiadomienie, że mam się stawić w Wydziale Komunikacji, koncesja, postanowiłem się bronić, poszedłem na skargę do prokuratura.

Jerzy Newelski przedstawia nieco inną wersję wydarzeń — W niedzielę musiałem wyjść do Urzędu, by popracować jakieś dwie godziny. Często po obiedzie wracam do pracy uporządkować dokumenty, przygotować się do jakiejś dyskusji czy posiedzenia. Tego po południu wpadł jednak syn z kolegą, by pomóc mi złożyć nietypowy

DANUTA WRONISZEWSKA

உருவகம்

padku zobaczenia go powtórnie. Wykorzystując jego pijaną dezorientację szybko wsiadłem do samochodu i powróciłem na postój przy poczcie głównej ustawiając się za taxi 170. Za mną przyjechała taxi 38. Wsiadłem z zamiarem zapytania kierowców, czy znają osobnika, któremu świadczyłem usługę. Zaraz zobaczyłem go idącego w towarzystwie



PLAN WIDOWNI

E K R A N

[illegible]

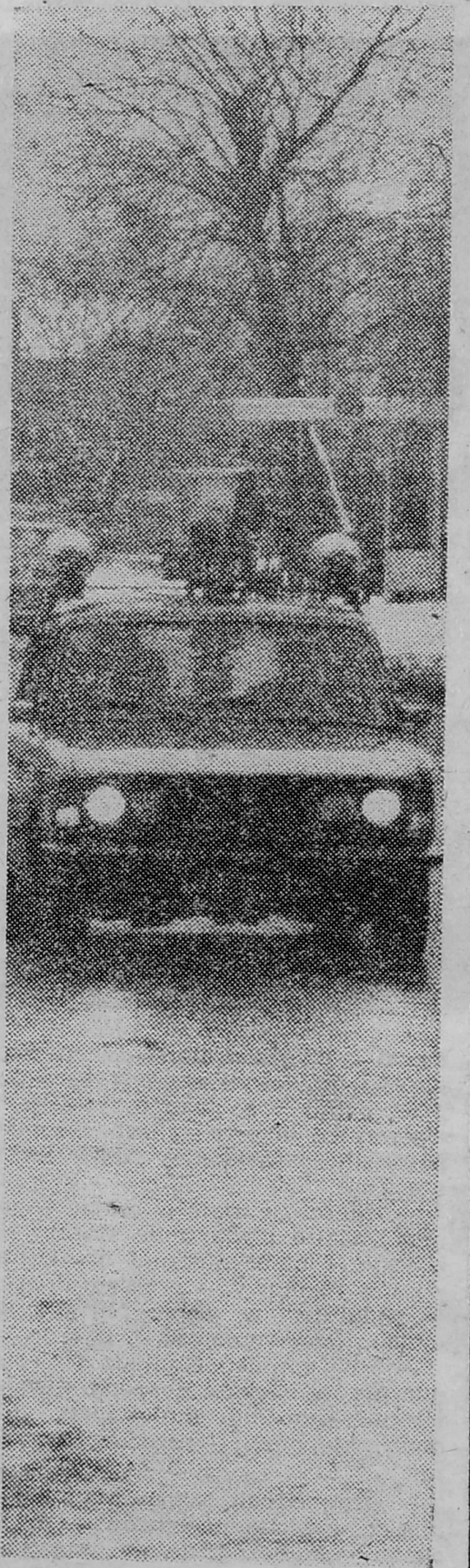
Kriteria



szafę. Zona „awansem” postawiła im butelkę wódki. Wypiłem z nimi trzy niewielkie kieliszki. Potem kolacja, dziennik. No i „Jan Serce”. Dopiero po filmie zebrałem się do wyjścia. Było już po 22.00 i nieco chłodno, szczególnie w samym garniturze. Ale dostrzegłem taksówkę na postoju. Do diabła — pomyślałem — znów stoją na lewym poboczu i czekają na „dalekobieżne” kursy, pijanych gości. Zawsze zwracałem kierowcom na to uwagę. Zamieściłmy nawet pod oznakowaniem „Parking” napis „z wyłączeniem taxi” — teraz nie usprawiedliwiają ich tłumaczenia o braku paliwa czy awarii. Powiedziałem im: „Wciąż was karzą, a wy swoje. Stoić tu i polujecie na pijanych pasażerów. Proszę stąd odjechać”. A widząc stojącego przed pocztą wartownika dodałem, niepotrzebnie zresztą: „Tylko wziąć automat i postrzelać wam opony”. Kierowcy opuścili pobocze, a na postój zajęła czarna wołga, do której wsiadłem. Poprosiłem o kurs na ulicę Zatylną. (Po godzinach urzędowania wchodzę do Urzędu nie od placu Żeglickiego, lecz od Zatylniej). Powiedział, że nie zna takiej ulicy. Chciałem jakoś zrekomensować swój wybuch w stosunku do jego kolegów, więc powiedziałem, żeby podwiózł mnie pod Urząd Miasta i zacząłem żartować: „Co to za prezydent rozdaje koncesje ludziom nie znającym centralnych ulic Łomży?” Pod Urzędem stwierdziłem, że klucze zostały w innym garniturze, więc powiedziałem: „Wie pan co, chciałbym, żeby pan mnie teraz zawiózł na 1 Maja, ale ponieważ pan ulic nie zna, to proszę z powrotem na postój”. On się wtedy bardzo zdenerwował i zaczął zapłaty. Zapłaciłem, a gdy wydawał resztę jeszcze raz poprosiłem o odwiezienie na postój. Usłyszałem: „Spierdalaj pan z wozu”. Zagroziłem, że takie zachowanie może go kosztować koncesję. Wyszedł z wozu. Sądziłem, że chciał tym gestem podkreślić swą zdecydowaną odmowę. On tymczasem niespodziewanie chwycił mnie za głowę i ramię, i wyrzucił z wozu. Spadłem na „czworaka”, tłukąc kolana. Gdy spojrzałem na niego miał dziwnie speszoną minę i zaraz rzucił się do ucieczki — prawie drzwi zamykał już w biegu. Po chwili zrozumiałem: przy szarpnięciu zerwała się szelka od kabury pistoletu, który nosiłem od momentu wprowadzenia stanu wojennego. Kabura wisiała jak krawat i ten widok tak przeraził kierowcę. Wstałem. Lewe oko bolało mnie okropnie i łzało. Szedłem w kierunku domu. Spotkałem syna, który wracał do siebie. Postanowiliśmy ustalić, który kierowca tak mnie urządził. Wsiadliśmy do taksówki, by udać się pod dom wszystkich taksówkarzy, właścicieli czarnych wołg. Odjeżdżając z postoju zauważyłem znów tę wołgę. Zawróciliśmy, ale kierowca nie chciał ze mną rozmawiać. Miał drzwi i okna zamknięte i odjechał po chodniku z postoju. Zaraz zjawili się funkcjonariusze MO. Zapytali, czy mam broń i poprosili, bym udał się na KW MO. Stamtąd przewieziono mnie do Komendy Miasta. Zatrzymano mi broń. Proponowałem, by pobrano mi krew w celu stwierdzenia zawartości alkoholu. Odpowiedziano, że nie ma potrzeby, gdyż nie prowadziłem pojazdu. Odwieziono mnie do domu. Następnego dnia poszedłem do lekarza, gdyż czułem się marnie. Dokonał obdukcji, wypisał zwolnienie. Zgłosiłem się na komendę po broń. Oddano mi — nie stwierdzono używania jej, zarysowań czy zabrudzeń. Gdy chciałem złożyć na Henryka Jurkowskiego skargę i wniosek o

ukaranie okazało się jednak, że nie mogę, gdyż wcześniej on złożył oskarżające mnie zeznanie u Prokuratora Rejonowego. Ja mogłem już tylko wnieść sprawę z powództwa prywatnego do Sądu Rejonowego; mną zajęła się Prokuratura Wojewódzka. Wkrótce dowiedziałem się, że skargę Jurkowskiego bada się w świetle art. 167 kodeksu karnego: „Kto używa przemocy lub groźby bezprawnej w celu zmuszenia innej osoby do określonego zachowania się, podlega karze ograniczenia wolności do lat 2, ograniczenia wolności albo grzywny.” Sprawa zaczęła wyglądać poważnie i wojewoda zawiesił mnie w czynnościach prezydenta miasta.

W przypadku Jerzego Newelskiego zastosowano w pełni kryterium osoby publicznej. Z tą surowością były prezydent całkowicie się zgadza: — Nie mam żalu do wojewody, gdyż ja postąpiłabym tak samo. Jeżeli istnieje podejrzenie naruszenia prawa, to każdy funkcjonariusz powinien być zawieszony aż do wyjaśnienia. Do tego promincenci muszą się przyzwyczaić. Każdy uczciwy Polak pragnie uwiarygodnienia się partii, władzy, socjalizmu. A zależy to głównie od



powszechnego stosowania prawa. Złe jest prawo lub znajduje się w niegodziwych rękach, gdy jest wykorzystywane do uwiarygodnienia osób i ich błędów. Przedstawiciele organów stojących na straży praworządności są odpowiedzialni za to, by prawo znaczyło prawo, i by wobec niego równy był każdy obywatel. Ale w Łomży wygląda to tak, że można dostać od kierowcy po głbie, bez świadków, potem zostać postawionym w stan oskarżenia i trzeba udowodniać swoją niewinność.

W końcu znaleźli się jacyś świadkowie, którzy widzieli zajście przed Urzędem; udało się ustalić, który wartownik pełnił wtedy służbę. 30 grudnia Prokuratura Wojewódzka w Łomży umorzyła śledztwo z „braku cech przestępstwa”.

Paradoksem byłoby wymagać, by prokurator szukał dowodów niewinności Jerzego Newelskiego, bo powołany jest do zupełnie odmiennych zadań. Dziwić może natomiast pośpiech, z jakim „zawiesza” go w członkostwie Wojewódzka Komisja Kontroli Partijnej. Na posiedzenie wezwano go telefonicznie, o 9.00 rano, a półtorej godziny później składał wyjaśnienia.

— Tłumaczyłem, że nie tylko taksówkarz skarży na mnie, ale i ja na taksówkarza, że właściwie byłoby poczekać na wynik dochodzenia i wyrok sądu. Po przerwie przewodniczący WKPP sprzecyzował zarzuty: „1. Nie wypada, by prezydent miasta chodząc nocą na fleku. 2. Kazałście po zajściu zamknąć kierowcę taxi nr 26. 3. Chodziliście po mieście z bronią.”

Dwóm pierwszym zaprzeczyłem informując, że mam dowody i świadków. Na trzeci odpowiedziałem, że od 13 grudnia 1981 r. ani jednego dnia nie chodziłem bez broni, i mam do tego prawo.

Nieuwzględnienie prośby o wstrzymanie zawieszenia w prawach członka PZPR odczuł Jerzy Newelski szczególnie boleśnie, jako wyraz nieufności partii, której ponad 30 lat był szczerze oddany. Kiedy raz znalazł się w tarapatkach bardziej uwierzone nieznanemu kierowcy niż jemu, chociaż egzekutywa Komitetu Miejskiego i Prezydium MRN wydały o nim bardzo dobrą opinię. Wojewoda Jerzy Zientara potraktował rzecz surowo, ale nie pochopnie, chociaż — co jest już tajemnicą poliszynela — wywierano na niego presję, by zwolnić ze stanowiska prezydenta natychmiast: „Prominent, średni czy duży, zawsze jest ostrzej niż inni oceniany. To normalny koszt zawodu. Ale sprawa Newelskiego, to również sprawa człowieka, który nienaganie przepracował trzydzieści lat. Czy przez jeden incydent, nawet gdyby on był nieco obciążający, można przekreślić człowieka? Czy to byłoby moralne? Poza tym, on chciał odejść na emeryturę rok wcześniej — był chory, przemęczony. W związku z sytuacją w kraju zgodził się pozostać, najdłużej do 31 grudnia 1982 r. I na skutek tak małego wiarygodnej skargi miałem go zwolnić na miesiąc przed faktycznym odejściem na emeryturę? Bez czekania na stanowisko prokuratury, względnie sądu, a tylko na podstawie domniemywań? Ja nie mam moralnego prawa aż tak nie wierzyć własnym ludziom, utracąc ich pochopnymi decyzjami, bo w konsekwencji oni mogą przestać mi ufać.

Jerzy Newelski jest już na emeryturze. Nie tak zapewne wyobrażał sobie odejście. Ma niemało żalu do Jurkowskiego, ale nie czuje do niego nienawiści: — Ja chyba nawet rozumiem jego zachowanie. Gdy zobaczył, że poturbował jakiegoś funkcjonariusza, obleciał go strach. Bał się, że co najmniej odbiorą mu koncesję, a ma na pewno żonę, dzieci. Najlepszą bronią jest atak. Udało mu się: mnie zaskoczył. Ale czy sobie na pewno pomógł?

Fot. GABOR LÖRINCZY

spiećcia



W lipcu 1981 roku na ulicy Dwornej w Łomży miała miejsce drobna awaria wodociągu. Usunięto ją sprawnie, o czym świadczy nie zasypany po dziś dzień. Sprawa dołu urosła wkrótce do takiej rangi, iż zainteresował się nim radny MRN: w sierpniu 1981 roku interweniował u prezydenta, w październiku interweniował na posiedzeniu Rady; w sumie deptał wokół niego tak systematycznie, że dotupał się do roku 1983. A dół jak wół. Rzucamy więc hasło: „Radny nie bądź zaradny — chwyć łopatę, daj przykład ładny”.

★

Po zapadnięciu zmroku na ulicy Łomżyńskiej w Wiźnie (mieszka przy niej sama śmietanka władz gminnych z naczelnikiem na czele) jest ciemniej niż w ślepej kiszce. Nic dziwnego, skoro w centrum lampy palą się dzień i noc — informuje czytelnik i podpuszcza nas na organa. Czy naprawdę nie widać w tym logiki? Co w dzień się straci, w nocy zaoszczędzi, czyli bilans się zgodzi. Nigdy nie radziliśmy sobie z oryginalnością!

★

W grudniu ubiegłego roku zespół poselski i komisja współdziałania ustaliły terminy swych posiedzeń w tym samym dniu i o tej samej godzinie. Niektórzy działacze znaleźli się więc w kłopotliwej sytuacji: w którym uczestniczyć. Nie wątpimy jednak, że na obu został podjęty słuszny wniosek: „Dość słów — do czynu”. I tak obowiązkom stało się zadość.

★

Na łomżyńskich drogach doszło w ubiegłym roku do niespotykanej w latach poprzednich liczby wypadków pod wpływem alkoholu. Po kolejnej drastycznej podwyżce na trunki zastrzegamy sobie wszelkie prawa autorskie do pierwszeństwa w ogłoszeniu następującego komentarza: „Decyzja ta podyktowana była również względami społecznymi — koniecznością podjęcia skutecznych kroków w walce z plagą alkoholizmu w naszym kraju”.

★

Administracja łomżyńskiego kwatunku odrzuciła podanie zawierające chęć wykupienia zajmowanego lokalu na własność, motywując tym, iż petentka jest zbyt w podeszłym wieku. Godna pochwały delikatność, czy też w kwestii kwater, poza własną substancją mieszkaniową, kwatunek nie ma nic do powiedzenia?

★

Dyrektor administracyjny Wojewódzkiego Szpitala Zespołowego zapewnił nas, że w gabinecie fizykoterapii zawsze jest ciepła woda, bo inaczej skarżyliby się pacjenci. Jakże jednak ma on słyszeć narzekania rehabilitantów, okładanych lodowatymi kompresami, skoro interwencje jego personelu już od dawna są tylko brzęczeniem much nad ponaddyrektorowymi uszami? Łatwiej ustrześcić muchę niż usunąć zapach nieświeżej sprawy.



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

O ładowacz do obornika, kosiarkę rotacyjną, snopowiązałkę napisać może podanie. Do gminy. Od tego są. Chceć wcale by nie musiał. Różni tu ludzie bywali, ważni, z Białegostoku, z Warszawy, ambasadorzy. A co? Redaktorka z telewizji lub radia; zresztą, żeby jedna. Ale on, Józef Feltowicz, wie, że jego władza jest w gminie. Fakt, traktor chciał, pojechał trochę dalej; młocarnię potrzebował, też. I ma. Ale w jego latach taka pomoc potrzebna była na gwałt. O resztę napisał do obywatela naczelnika, i redaktor, proszę bardzo, może przy okazji pogadać, jak zamierza im pomóc. Bo jest jeszcze brat, czyli razem jest ich dwóch.

Psuja nam ludzi — słyszę w gminie. — Teren tu piękny, łowny. Przyjedzie taki, pogania po lesie, postrzela, z gospodarzem pogada, tyknie i cielę do bagażnika pakuje.

— Kto?
— No, nie my tutaj, trochę wyżej, a nawet z bardzo wysoka.
— I potem telefon?
— Telefon.
— Ze temu by trzeba tamto, temu to?
— Ze temu tamto.
— I się dawalo?
— Hm.
— I się daje?
— Jest taki jeden; rozpatrzony, nie należy mu się. A on przyniósł w tych dniach papierkę z województwa, żeby przyznać mu maszynę w pierwszej kolejności. Nie przyznać?
— Nie przyznać!
— Nie przyznać? — sekretarz z kierownikiem służby rolnej ze zrozumieniem kiwają głowami.

— Z drugiej strony, jak dać, jak przyznać, kiedy... bardzo proszę — bierze się w rękę choćby ostatnie podanie i nie rozpatrując, broń Bóg, czyta tylko: „Uprzejmie proszę o przyznanie nowego ciągnika”. Gmina otrzymuje ich rocznie około dwudziestu pięciu sztuk. W gminie jest ponad tysiąc dwieście gospodarstw indywidualnych. Więc prosba to mało. Muszą być zasługi: „Odstawiłem dwadzieścia dwa kwintale zboża, trzy tony ziemniaków, półtorej tony mięsa, na wiosnę sprzedam trzydzieści ton sadzeńców”. Ale zasługi, ci co żywią, mają wszyscy. Trzeba wytoczyć argument: „Posiadam maszyny w komplecie”. Działo: „Posiadam następcę, córkę lat dwadzieścia”. Kolubrynę: „Przeszedłem dwie operacje, chodzę w pasie przepuklinowym”.

Ostrzał ciężki, lecz, jak by nie patrzeć, konwencjonalny. Sąsiad tymczasem zaatakował rakietą wojewódzkiego zasięgu. Przed czym padnie gminna kompetencja?

— Psuja nam ludzi — słyszę jeszcze, i tyle by było z marginesu. Bo globalne problemy to ho, ho, nie sprawa jednego przydziału ciągnika wte lub wewte.

Z trzydziestu ośmiu tysięcy hektarów gminy Goniadz zaledwie osiemnaście to użytki rolne. Reszta bagna, ostępy i lasy, nad którymi od piętnastu lat dumają naukowcy: ogłosić je parkiem narodowym czy nie? Osiemnaście tysięcy użytków podzielić się da, niemal linijka, na trzy rejony: łąki — czyli hodowlany, łąki i pola lichej klasy — hodowlano-uprawowy, ziemia czwartej klasy — zagłębienie ziemniaczane.

— Zboża, ziemniaków, bydła byłoby dwa razy tyle, gdyby raz na zawsze zakończyć tę cholerną meliorację, a zakończoną solidnie konserwować — twierdzi kierownik służby rolnej. Tymczasem melioracja oszalała. Spółki wodne trzeba by porządnie stuknąć w kopolukę! Za zdzierstwo i nierobstwo! Za sto tysięcy od hektara drenacji, za pięćset złotych od hektara za nierobstwo spółek.

— I tacy Feltowicze mogliby trzymać do stu opasów — liczą w pokoju sekretarza. — Ale tam znowu nie ma komu robić.

Słyszysz pan, panie Feltowicz? Sto opasów! Albo krowy. Dziesiątki litrów mleka! — Chowam krowę, cielaczkę i świnkę — uśmiecha się Feltowicz. — Zresztą pokażę, bo może pan pomyśleć, że obora pusta. — Otwiera szerokie wierzaje nowoczesnie pomyślanej, na oko pięćdziesięciometrowej, obory. Po chwili mrowi się na podwórku. Liczę: pięćdziesiąt dwa, trzy, cztery... Mieszają się cielska potężnych byków, krow, młodzięży, cieląt.

— A tu są świnię, jedenaście. Trochę poszło do lasu, pod wieczór wróca.

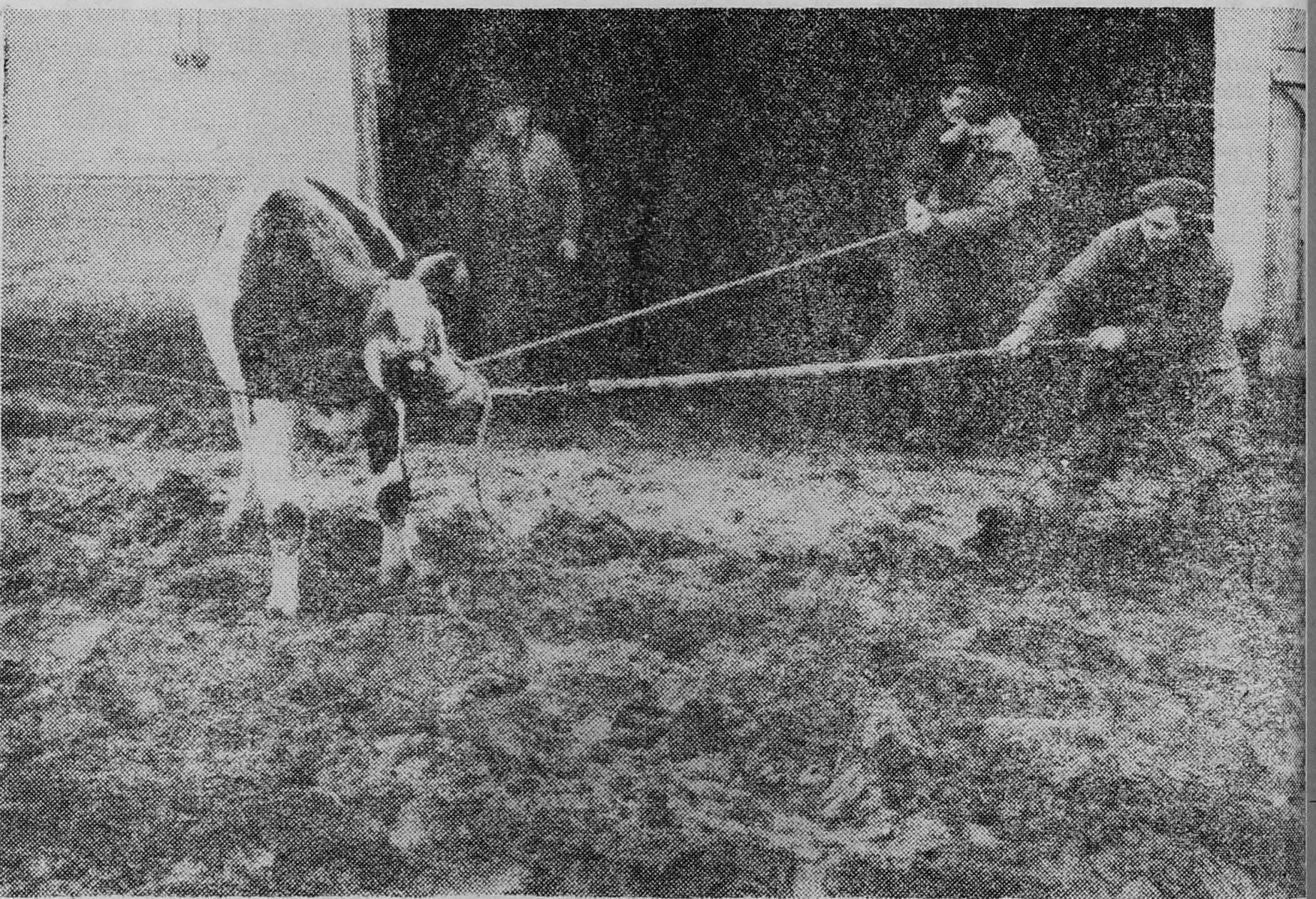
Z otwartego sąsiedka pohukuje na niesforne bydlę starszy brat Józefa,

Mieczysław, spracowany, przygarbiony starzec.

— Ile pan ma lat?
— Krzepę mam i długo myślę jeszcze ją trzymać.

WŁADYSŁAW TOCKI

rio bravo



Bracia Feltowiczowie posiadają, zgodnie z kwitem podatkowym, sześćdziesiąt dziewięć hektarów trzydziści dziewięć arów ziemi. Z tego, jak w całej gminie, ponad połowę stanowią lasy i nieużytki. Nie trzeba pytać o klasę, gdy z całości płacić przychodzi sześć tysięcy dwieście sześćdziesiąt złotych ratalnego podatku.

— Nieźle sobie staruszkowie radzą — kwituję wizję lokalną.

— Nieźle? Bo to się, panie, samo chowa, pokrywa, rodzi i żywi. Ile on mleka udoi? Tyle, ile krowy udamu się akurat złapać. Jak tylko śnieg zejdzie, puszcza wszystkie luzem na łąki, w las. Idzie rano, patrzy, nowe cielę krowę doi, aż wymię podskakuje. Wracą na podwórze, a tu locha, której miesiąc nie widział, z prosiętami do chlewa się wciska. Dzieci. Dzieci wszystkie. Rio Bravo, że strach podejść. Nie raz nie jeden ze wsi przed rozjuszoną rogami na drzewo umykał. Tylko gospodarze mają dostęp do tej dzicy, choć miejscowy poeta — z pomysłu — jeno czy też z podpatrzenia — zaprzecza:

„A Feltowiczowi ciągle w uszach dzwoni,
Bo mu się wydaje, że go buhaj goni”.

— Nieźle sobie staruszkowie radzą — prowokuję w gminie.

— Nieźle! Proszę bardzo! W roku 1980 sprzedali państwu za sumę 51 758 złotych; w roku 1981 za 20 008 złotych, a w poprzednim — za 82 969.

To jest problem i mamy go na uwadze. Nawet sekretarz osobiście się zaangażował i wybiera się do Feltowiczów — mówi kierownik służby rolnej i zaprasza na wspólną debatę z sekretarzem.

— Kwestia tego gospodarstwa — podtrzymuje sekretarz — musi znaleźć i znaleźć rozwiązanie. Jestem już umówiony z komendantem milicji, który pożyczyci nam wóz terenowy, gdyż innym trudno tam dojechać, i jeszcze w tym tygodniu powinniśmy razem z kierownikiem udać się do Feltowiczów.

Przyjęcie tak niskotowarowego gospodarstwa na skarb państwa, słyszę, nie wchodzi w rachubę: Feltowiczowie z niezym wobec państwa nie zalegają. W dodatku Sejm potwierdził trwałość gospodarki indywidualnej, a tylko czekać, jak pojdą w tym kierunku dalsze ustawy. Można by im zaproponować — trwa głośne myślenie — by zostawili sobie część, tyle, ile sami są zdolni solidnie obrobić, resztę przekazali gminie.

— To wyjście będziemy im proponować — mówi sekretarz, a mnie skóra cierpi: a nuż po ujawnieniu dziennikarskiego zainteresowania władza naprawdę ostro zabierze się za „problem niskotowarowych Feltowiczów”. Dziennikarz już raz, trzydzieści sześć lat temu, zrobił tej rodzinie tragiczną przysługę. Grasuła w okolicy banda uprowadziła jej konie. Służbie bezpieczeństwa udało się trafić na trop i zwierzęta wróciły do właściciela. Niebawem, w codziennej gazecie, jakiś idiota wysmarował w imieniu gospodarza dziękczynienie na ręce UB. Wysma-

dzie wojewódzkie, mięsko ciepłutkie do bagażnika ładują — potwierdza opinie wsi. I nie boją się, on się nie boi, że ktoś powie „spekulacja”? To mówim: ważne wojewódzkie ludzkie Robotnik limuzyną za cieleciną się po lesie nie rozbija. To kto podskoczy? Komu? Gdzie? Na kant chyba. Na odnowę, co była, jest i będzie, ha, ha, ha.

— Ja nie mam czasu jeździć, on stawiać po dwie, trzy sztuki, wykazywać się kwitami, pilnować, żeby w banku wszystko policzyli. Mnie to nie interesuje.

Feltowicz się nie usprawiedliwia. Mówi tak, bo wie, jak powinno się obsługiwać rolnika: „Dzień dobry! Chceć rozsiać na łąkach nawóz”? „Na jakim obszarze i w jakim terminie”? „Dziewiętnaście hektarów, przebiegającym kwietnia”. „Proszę bardzo”. Piętnastego kwietnia idzie odebrać robotę i rachunek. Płaci — i wszystko. Ba! Na razie podobnie działają zakłady mięsne. Dzwoni się lub jedzie do Elku, dogaduje, przysyła samochód, zabierają bydło, wystawiają rachunek. Teraz sprze- dał właśnie jedenaście sztuk; średnio licząc, około pięciu ton mięsa.

Jak to jest, że taki Feltowicz człowiek po przedwojennych szkołach, zmarnował swoją inteligencję, zaprzepaścił, dziwny zrobił — zastanawia się kierownik, pozornie bez związku. Bo związek jest: jeśli przed laty, mając szkołę, nie odszedł z zarytej w lasach wsi, kto go do tego przekona dziś? I o wówczas? Wytaczamy kolubrynę sprawy: co robić z ludźmi, którym pewnego dnia zaczyna brakować si-

rował wyrok śmierci: wieczorem przyszli do leśnej zagrody leśni ludzie, pobili do nieprzytomności wszystkich, a ojca zabrali z sobą i powiesili w sąsiedniej wsi, Kuleszach.

— Interesuje mnie — mając w pamięci tamto wydarzenie staram się zboczyć z niebezpiecznej dla Feltowiczów rozmowy — problem dużych gospodarstw w ogóle. Nie przyjechałem interweniować.

— W gminie Goniadz to jest właśnie największe gospodarstwo. Z innymi, znacznie mniejszymi, nie mamy kłopotów — przecina kierownik.

— Jest jednak zapewne, jak i u innych, kwestia następców — brnę, okazuje się, beznadziejnie: w gminie żadnej kwestii następców nie ma, poza gospodarstwem Feltowiczów, zważywszy na ich niewzruszone starokawalerstwo.

— Ostatecznie sam widziałem piękne zabudowania, nowy ciągnik, trochę maszyn, pięćdziesiąt kilka sztuk bydła, kilkanaście świń, dwa konie. Gdzieś to w końcu sprzedają, nie wywożą przecież za granicę — powtarzam argument usłyszany od Józefa Feltowicza.

— Nie wywożą, ale co gmina z tego ma? — mówi sekretarz. — Choć my wiemy, gdzie idą te cielęta, te świnki, przed świętami. Tam kiedyś najlepsze marki samochodów z regionu, z Warszawy zjeżdżały.

Same prokuratorzy, adwokaty, lu-

nie rokuja perspektyw? Wyciąć, wykarczować ich z dotychczasowego życia? Dać pomoc, której procenty nie będą dla nikogo chwałą? Kto mara o mieszkaniach lazienkowych, wpatrzonym w okno odpoczynku po znoju? Nawet bez głupiego gadania o chłopskim przywiązaniu do skiby Feltowicz?

— Ale, ba! Żarcie!

— Ale, ba! Życie!

— Trzeba im będzie chyba jakoś pomóc. Złożył podanie o kosiarkę rotacyjną. Na tyle łąk jest ona, nie tylko dla dwóch starszych ludzi, nie zbędna — ustala sekretarz z kierownikiem, i co do tego są zgodni.

WKramkowie nikt o Feltowiczach nie powie, że się leni. Pracują jak woły, bez świątko ciągle w robocie. Ale choć we wa robotę się ceni nadal najbardziej — harówki już nie. A jeszcze tyle starokawalerski upór, z którego tylko najróżniejsze dopusty wynikają, brak chęci, bo dla kogo robić.

— Co to za życie dla chłopca, który by piekni nigdy nie oglądał, gdyby świnię w majtkach chodzący dosadza jeden z sąsiadów, pomagający załadować bydło na samochód podesłane do Elku.

— Kaplica nie życie — potwierdza inny.

— Klótni sąsiadów tu nie usłyszysz, kobieta nad uchem nie brzęczy, las, łąki, powietrze. Pan nie wie — zapewnia Feltowicz — co to za życie.

FOT. GABOR LÖRINCZ

S PONTAN

na przemian

GONG

NA WYNOS

TYMCZASIE

NA PRZEKÓR

bez szpanu

bez atutu

Ogłaszamy przetarg na naj-
lepszy tytuł. Wybierzcie któ-
rą z propozycji lub zapro-
ponujcie lepszą.

7
KONTAKTY
30 I 1983

Choć o sprawach młodych dość często pisaliśmy na łamach „Kontaktów”, młodzież wciąż czuła niedosyt tej tematyki. Powstał więc pomysł stworzenia comiesięcznego dodatku adresowanego do młodych. Magazyn ma być nie tylko dla Was i o Was, ale będzie powstawał przy Waszym ogromnym udziale. Kolumna „Pióro szuka talentów” czeka na Wasze próby literackie: felietony, humoreski, fraszki itp.

Ogłaszamy stały konkurs na zdjęcie miesiąca. Sądzymy, że zasypiecie nas propozycjami rubryk i tematów do podjęcia, a właściwie, że podejmować je będziecie sami. Jest przecież wreszcie okazja do powiedzenia głownie, bez żenady tego, co Was boli, cieszy, przynębia, co akceptujecie, z czym się nie możecie zgodzić.

zamiast manifestu

Zapewne zauważyliście rubrykę zatytułowaną „Kontrowersje”. Proponujemy, by następnym poruszoną w niej tematem była samorządność uczniowska. Niecierpliwi mogą wypowiedzieć się już dziś, można też zastanawiać się cały tydzień.

Liczymy na obfitą korespondencję i na sygnały do rubryki „Faule”, czyli na doniesienia o nieczystych zagraniach na młodzieżowym podwórku.

Pamiętajcie, by każdy list był podpisany imieniem, nazwiskiem i opatrzony adresem. Jeśli z jakichś ważnych powodów chcecie zachować swoje personalia w tajemnicy, wystarczy zaznaczyć, że są one wyłącznie do wiadomości redakcji. Zawsze respektujemy takie życzenia.

Najwięcej naszych rozmówców i korespondentów prosiło o kącik muzyki młodzieżowej. Będzie więc aż cała stronica, i to pod redakcją doskonałego znawcy muzyki młodzieżowej, Jacka Grüna. Przekonacie się, że potrafi on nie tylko denerwować bezkrytycznych fanów ciętymi uwagami.

Poznać też złośliwą kreskę Andrzeja Szufarskiego. Wśród tych, którzy zgadną, którą z muzycznych gwiazd Andrzej Szufarski skarykaturował, wylosujemy atrakcyjny singel lub komplet kolorowych fotosów ofiarowane przez Jacka Grüna. Wszelką korespondencję nadsyłajcie na adres: „Kontakty”, 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7 z dopiskiem „Magazyn młodzieżowy”.

zdjęcie miesiąca



oni

Fot. CEZARY KOCON

ŁOMŻYŃSKIE TOWARZYSTWO FOTOGRAFICZNE

tylko dla wytrwałych

z Maciejem Maciebochem, trenerem Tae-Kwon-Do rozmawiają Danuta i Aleksander Wroniszewscy

— Uczy pan karate, ściślej — Tae-Kwon-Do, sportu od kilku lat szalenie popularnego w Polsce. Czy — w Polsce, oznacza także — w Łomży.

Maciej Macieboch: — Z pewnością nie jest to ta sama skala. Gdy mój kolega z Przemysła ogłosił nabór do sekcji Tae-Kwon-Do, chętni ledwie mieścili się na boisku piłkarskim. Przeegzaminowanie każdego z takiej masy młodych ludzi wydawało mi się przedsięwzięciem heroicznym. Wpadł więc na prosty pomysł wyeliminowania najmniej sprawnych. Kazał wszystkim usiąść w dość niewygodnej pozycji i trwać w niej bez najmniejszego poruszenia. Po godzinie zrezygnowały... dwie osoby. W Łomży mamy trochę mniej wytrzymałą, czy może raczej — mniej konsekwentną młodzież. Na pierwsze u-

biegłoroczne spotkanie przyszło około 500 chętnych, na drugie, które miało się zakończyć zapisami — 154. Myślałem, że i z tych sporo się wykruszy, ale jakoś nie chciało rezygnować. Dziś ćwicz 138.

— Czyżby pan się z tego nie cieszył?

— Cieszyłbym się, gdyby przybywało nie tylko uczniów, ale i instruktorów, a przede wszystkim, gdybym miał gdzie prowadzić zajęcia. Korzystamy z uprzejmości dyrekcji Zespołu Szkół Medycznych i Szkoły Podstawowej nr 3, ale sale gimnastyczne są wolne dopiero od 20.00. Treningi kończą się około 22.00, a przecież jest to młodzież szkolna. Dyrektorzy innych szkół twierdzą, że ich sale zajęte są na okrągło...

CIĄG DALSZY NA STR. 8

Bywają sprawy, które każdy widzi inaczej, problemy, na których rozwiązanie mamy dziesiątki recept. Są też opinie obiegowe, prawdy — aksjomaty. Często pozorne. Znacnie je dobrze. Oto jedna z nich: „Młodzież jest bierna, nastawiona do życia konsumpcyjnie”.

Wypowiadają się uczniowie zambrrowskiego liceum, dyskutują studenci Zespołu Studiów Nauczycielskich w Łomży:

„Jeśli komuś całe życie wpałano, by nie angażował się w nic, co mogłoby zakłócić jego spokój, jeżeli całe życie dawano mu wszystko nie żądając nic w zamian, to czego teraz oczekiwać? To nie nasza wina, że urodziliśmy się później. Oni też nie pracowali dla niczego innego, jak tylko po to, żebyśmy my nie zaczęliśmy od zera. Jeżeli było inaczej, to dlaczego posyłali nas do szkoły i kazali „pilnować” nauki? Trzeba było nas posłać do pracy, a nie wypominać teraz każdy, nie zapracowany kawałek chleba”.

Maria

„Co możemy dawać, jeżeli nic nie mamy? Nie nauczono nas, że trzeba walczyć, być ambitnym, z uporem dążyć do wytyczonego celu. Mówi się o nas: „Są bierni”. To prawda — chcemy tylko dobrego zarobku.

kontrowersje

ładnych ciuchów. Reszta nas nie obchodzi. Domaganie się od nas realnego spojrzenia na świat, dostrzegania piękna dla samego piękna nie ma sensu. Przecież my uczylimy się na waszym przykładzie, dorośli”.

Anonim

„Czego my w ogóle chcemy? Często stawiamy sobie to pytanie na zebraniach zarządu. Propagandę mamy dobrą, przed każdą imprezą wywieszamy atrakcyjne plakaty zachęcające do wzięcia udziału... i nic. Nikt nie chce uprawiać sportu, uczestniczyć w zajęciach rekreacyjnych. Ostatnio wpadliśmy na pomysł, żeby ustanowić nowe regulaminy. Ale już nie zachęcające, raczej stawiające przed uczniami pewien plan do wykonania. Uważam, że to jedyne wyjście”.

Przedstawiciel Zarządu SKS

„Po prostu nie mamy gdzie i jak wyładowywać nagromadzonej energii. W jakimś stopniu daje taką szansę sport, ale przecież wiadomo, że w krajach, w których kultura fizyczna postawiona jest na jakimś takim poziomie, młodzież nie kopie „obojętnie” puszki po konserwach”.

Małgorzata

„Mam 16 lat i nigdy dotąd nie myślałam o tym, jak zarobić trochę grosza. Wiem, że w wakacje mogłabym jechać na OHP, ale wole nad morze lub jezioro. Nie mam ochoty harować. Przecież i tak dostanę od rodziców każdą żądaną sumę. Tak jak wiele moich rówieśników uważam, że młodość jest po to, by się wyszumieć, praca może jeszcze poczekać. Jeżeli to jest bierność, to oczywiście się pod nią podpisuję”.

Anonim

„Nie interesuje nas przyszłość — to jest nudne; teraźniejszość też nie jest ciekawa. Liczy się tylko dyskoteka. Co będzie jutro, to już sprawa rodziców, oni wszystko ułożą, zadecydują, urządkują życie i świat”.

Maria

„Jacy są ci, którzy tak o nas sądzą? Co robią, aby żyć lepiej, inaczej? To przecież oni układają nam

CIĄG DALSZY NA STR. 8

magazyn młodzieżowy



życie, oni, którzy sami nie wiedzą, jak żyć".

Zofia

Małgorzata: — Do niedawna traktowane byłymy w bursie jak przed-szkolaki. Żadna z dziewcząt nie za-protestowała, bo wszystkie bały się konsekwencji. Pogadałam z dyrek-torką, pokłóciłam się, ale załatwi-łam. Czy to świadczy o mojej bier-ności?

Maciek: — Dobrze, ale załatwiłaś to także, a może przede wszystkim, dla siebie.

Małgorzata: — Jak to, dla siebie? Przecież skorzystają z tego głównie nasze następczynie.

Zbyszek: — Jaką masz gwarancję, że po waszym odejściu wszystko nie wróci do dawnego stanu?

Wiesiek: — A jeśli nawet nie, czy to dobrze, że one przyjdą na gotowe i nie będą musiały nic za-latwiać? Spodoba im się to, zasma-kują w bierności.

Małgorzata: — Zawsze będzie coś do zrobienia.

Wiesiek: — Mówi się o emigracji wewnętrznej wśród starszych. A przecież dotyczy to także młodzie-ży. Pierwszym wrażeniem, jakie za-panowało wśród nas po wprowadze-niu stanu wojennego było: „Coś ro-biliśmy, czego chcieliśmy, a tu na-gle wszystko diabli wzięli”. Teraz jakby przychodziło pewnie otrze-żwienie, młodzież zaczyna chyba wychodzić z impasu.

Slawek: — Człowiek słucha radia, ogląda telewizję, czyta prasę i za-sklepia się w sobie coraz bardziej. 18–20-latek ma to do siebie, że przede wszystkim wartościuje: co jest prawdą, fałszem, co wyolbrzy-mieniem. Tymczasem mam wraże-nie, że obecna propaganda jest je-szcze bardziej nachalna niż w okre-sie stanu wojennego. To zniewieca. Człowiek myśli: „Po co się szar-pać, lepiej zająć się dziewczyną”.

Małgorzata: — To jest bardzo o-gólne. Lepiej chyba mówić na pod-stawie własnego podwórka. Kiedy organizowało się to studium, wszy-stko zapowiadało się pięknie: szalo-we plany, dużo dobrych chęci. Naj-pierw było bieganie za gąbkami, za-latwianie stypendiów... Potem pró-bowaliśmy coś zorganizować, jakiś zabawę, Juwenalia. Nagle okazało się, że do roboty jest kilka osób, reszta odpeka swoje godziny i ma wszystko w nosie.

Jurek: — Potem dostaliśmy swój pokój, zaczęliśmy urządzać radio-węzel. Niby jesteśmy na swoim, ale opiekunka chodzi i żąda, żebyśmy konsultowali z nią, gdzie, jak i co powieści. Ręce opadają.

Małgorzata: — Podobno się samo-rządźmy. Mówimy o tym, o tam-tym. Zawsze jed ak słyszymy jakieś veto pani opiekun. Chcemy coś przygotować — musi sprawdzić i skorygować; przewodnicząca ma za-miar zabrać głos na akademii — opiekunka zaraz daje wskazówki, o czym i jak powinna mówić. Tlu-maczę jej, że chciałabym o tym, co rzeczywiście czuję, mówi, że nie mam doświadczenia.

Wiesiek: — Mamy tzw. przedmio-ty nadobowiązkowe, np. wiedzę o sztuce. Jest to zgodne z zarządze-niem Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, Nauki i Techniki. Tym-czasem Rada Studium postanowiła, że będzie to przedmiot obowiązkowy. Dlaczego nikogo z nas nie po-proszono na taką Radę, dlaczego nie przedyskutowano problemu z nami?

Wiesiek: — Mówi się, że mło-dzież jest bierna, bo np. nie działa w ZSMP. To nieprawda — kilka osób działa. Po to, żeby wyrobić so-bie pozycję. A cóż oni takiego ro-bią? Najwyżej zorganizują dyskotekę.

Małgorzata: — Przyszedł do nas kiedyś facet z ZSMP. Zasypał cyf-rami i dziwił się, że nie zgłaszamy się. Na odchodne powiedział, że za dwa tygodnie wróci. Nie pojawił się.

Jarek: — To, że ja nie wstąpiłem do ZHP, nie musi zaraz oznaczać, że jestem bierny. Mnie po prostu ta organizacja nie odpowiada. Gdy mi się jakaś akcja podoba, włączam się. Aktywnie.

Zbyszek: — Czy my rzeczywiście jesteśmy bierni? Myślę, że raczej nie, ale pęta się skutecznie każda nasza inicjatywa. Chcielibyśmy coś zrobić — okazuje się, że jesteśmy zieloni, nieodpowiedzialni.

Maciek: — Zastanawiam się tyl-mu, kiedyś też nie byli hamowani i czy my za 15–20 lat nie będziemy robić tego samego?

ko, czy ci, którzy nas teraz tak ha-

— Nie wydaje się panu, że dyrek-torzy mogą się nie trochę obawiać? Przecież ci od Tae-Kwon-Do kruszą mury, łamią dachówki. W momen-cie roztargnienia mogliby niechęć roz-walić i ściana.

— Podejrzanie nonsensowne jeżeli chodzi o nas, nie jestem natomiast pewien, czy zupełnie nieuzasadnione w stosunku do dyrektorów. Zdarzało mi się już nieraz, że poważni goście rzucali: „Pan ćwiczy Tae-Kwon-Do? To pieprzaj pan w to biurko tak, żeby się rozpadło! Albo w szafę. Chciałbym to na własne oczy zoba-czyć”. Ludziom się wydaje, że my ćwiczymy dla takich właśnie sztuczek lub po to, by w razie czego skutecznie komuś „przywalić”.

— A czy młodzi ludzie garną się do pana ze szlachetniejszych pobu-dek?

— Myślę, że głównie po to, by nauczyć się bić i żeby tą bardzo mę-ską umiejętnością zdobyć szacunek chłopców i podziw dziewcząt. Ta motywacja ulega jednak zmianie w miarę jak pokonują kolejne etapy tej niełatwej drogi samodoskonalenia się. Tae-Kwon-Do bowiem to nie tyl-ko styl walki, ale i styl życia. „Tae” znaczy uderzenie nogami w powie-trzu, „Kwon” — obronę rękoma, a „Do” (najważniejsze) — drogę życia, kształtowanie charakteru.

— Czy Tae-Kwon-Do uszlachetnia też chuliganów i zabijaków?



Rys. MAŁGORZATA WRONISZEWSKA

— Żaden rasowy bandzior nie o-panuje Tae-Kwon-Do. Jeżeli facet przychodzi do mnie tylko po to, by bić lepiej od innych, to bardzo szyb-ko sam rezygnuje z treningów. Jego motywacja jest zbyt płytka, żeby wytrzymał wiele godzin żmudnych, wyczerpujących ćwiczeń. Nasze tren-ingi to nie zabawa — tu się pocą nie tylko ludzie, ale i ściany sali. Na-wet podłoga jest mokra od potu.

— Skąd pan bierze tych wspania-łych chłopaków, którzy to wytrzy-mują?

— 90 procent to uczniowie łomżyń-skich szkół pochodzący głównie ze wsi. Ich przygotowanie fizyczne jest różne: niektórzy są bardzo sprawni, ale wielu nie potrafi prawidłowo wykonać przysiadu, skłonu, nie mó-wiąc o przewrocie. Jeżeli są wy-trwali, po jakimś czasie zrobią na-wet szpagat, chociaż ćwiczenia roz-ciągające są dość uciążliwe. Bolesne jest również uodparnianie kostek dłoni (którymi właśnie rozbijamy te cegły)...

— Nikt nie lubi bólu.

— Najlepiej więc odczuć się od-czuwania go. Wspomniane ćwiczenia są pierwszym etapem przezwycięża-nia bólu, próbą charakteru. Sami sobie zadają ból, by osiągnąć wyty-czony cel. Muszą też pokonać w so-bie strach przed tym, który ból zada-je. Na początku ćwiczeń widzę ich przerażone oczy śledzące moje ru-chy... Uderzam niespodziewanie, np. w brzuch, chłopak przesuwając się 2–3 metry i nie ma prawa zareagować. Ba, nie ma prawa czuć bólu, bać się. I tę umiejętność większość z nich już opanowała.

— Czy nie są to zbyt brutalne me-tody?

— Nie, Tae-Kwon-Do nie jest bru-talnym sportem. Przynajmniej w moim wykonaniu. Prawda natomiast jest, że niektórzy instruktorzy zapo-minają nieraz, że Koreańczycy i Chińczycy to zupełnie inni ludzie niż my, tak pod względem fizycznym jak i psychicznym. Zasada bezwzględne-go podporządkowania mistrzowi sprawdza się u nich, ale nie u nas. Ja nie mam prawa narzucać chłopakom sposobu myślenia, łamać mu charakteru bezwzględnym traktowa-niem. Tae-Kwon-Do nie uczy bijaty-ki, agresji, jest sztuką samoobrony,

czyni ludzi silnymi — fizycznie i psychicznie, uodparnia na niepowo-dzenia i stresy, wyrabia poczucie sa-modyscypliny, uczy systematyczno-sci. Każdy z ćwiczących wie, że jed-nym zrywem nie nadrobi zanied-bań, a najmniejszy sukces musi oku-pić dużym wysiłkiem i wyrzeczenia-mi. Bruce Lee w „Wejściu smoka” dlatego był lepszy, że stronił od al-koholu, zabaw z dziewczętami, nie zapominał natomiast o codziennym przećwiczeniu wszystkich „kate”. Miał też przed sobą jasny, szlachet-ny cel — walkę ze złem.

— Film jest rzeczywiście intere-sujący i robi zawrotną karierę kaso-wą, choć nie cieszy się zbyt dużą sym-patią krytyków filmowych. Jego przeciwnicy zwracają uwagę na to, iż uczy agresji, niebezpiecznych za-chowań.

— Gdy swego czasu grano „Krzy-żaków”, na moim podwórku jedne-mu chłopakowi koleczy wylupali oko, a drugiemu o mało co wyrwali-by język. Ale wtedy nie wypadło mówić o złych wzorcach. Symptoma-tyczne, że nie podkreśla się w re-cenzjach z „Wejścia smoka” moty-wu szlachetnej walki ze złem i prze-mocą, ideału życia skromnego i pe-nego wyrzeczeń, obrony godności ludzkiej, ośmieszania tych, którzy zbyt chętnie demonstrują swą siłę bijąc zdecydowanie słabszych od siebie.

— Czy pańscy uczniowie po obej-rzeniu fascynującej walk w „Wej-sciu smoka” nie nabawili się kom-pleksów?

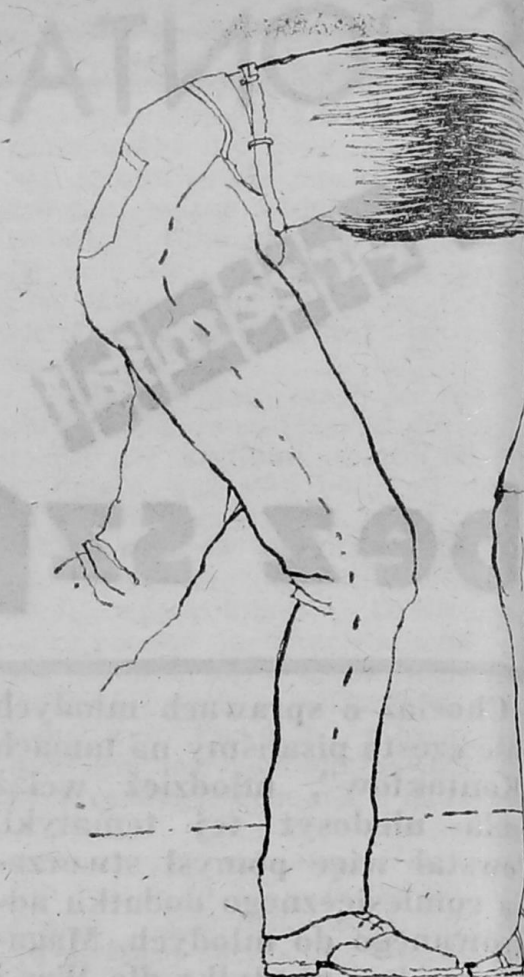
— Nie mieli powodów. Naprawdę dobrym facetem jest tam jedynie Bruce Lee, co widać wyraźnie, gdy ogląda się ten film w zwolnionym tempie. Innych walczących mogliby pokonać wielu średniej klasy karate-ków polskich. Uderzenia są niskie, łatwe do obrony. Poza tym Bruce Lee — jako reżyser — ma na swym kon-cie kilka poważnych grzechów. Zde-cydowanie przesadzone są te sceny, w których walczący trafiani potęż-nymi uderzeniami nogi czy ręki, nie tylko nie giną, ale walczą nadal. Za-den z mężczyzn „inkasujących” cio-sy siostry bohatera filmu nie miał prawa biec dalej. Film został nakrę-cony według najlepszych wzorów gangstersko-westernowskich. Nie można mieć o to pretensji, bo prze-cież nie jest to obraz dokumentalny, instruktażowy, lecz fabularny, ma-jący na celu popularyzację walki Wschodu.

— Od pewnego czasu stara się to robić również nasza telewizja.

— Ale nie zawsze w najwłaściw-szy sposób. Pokazuje się niemal wy-lącznie samą walkę, oprzyrzadowa-nie, a przecież najważniejsza w tym wszystkim jest idea, filozofia, etyka, historia, legenda. Czasem jakiś chlo-pak przyniesie na zajęcia nunchaku, innemu marzy się walka gwiazdka-mi shurikanu, ale tępię to bezwzględ-nie. Powiadam takiemu: „Cóż z te-go, że z nunchaku będziesz lepszy od Bruce Lee? Gdzie z tym pój-dziesz? Chyba prosto do kryminału?! Mistrzem walki nie jest ten, kto swoją wyższość udowodni większą siłą, lecz ten, kto lepiej walkę prze-myśli”. Moi chłopcy nie rozrabiają w szkole, nie tłuką niczego na po-kaz. Oni wiedzą, że to potrafią, i że nie muszą tego nikomu udowadniać. Kiedyś na obozie posłaliśmy na dys-kotekę. Jacyś podpici chłopcy zaczęli do nas „podskakiwać”: wiedzieli kim jesteśmy, chcieli nas sprowokować. Zdenerwowałem się, że może dojść do niepotrzebnej bójki, ale moi chłopcy potraktowali ich z tak wy-niosłym lekceważeniem, że tamci nie wiedzieli, jak się mają zachować.

Tae-Kwon-Do i inne tego typu wal-ki wyrabiają w człowieku swoistą pogardę dla wszelkiej słabości, nie-godziwości, uczą dystansowania się do problemów dnia codziennego, po prostu zmieniają go. Ja też byłem kiedyś „artystą”, miałem duszę lek-koducha. Chwiejny, dość chimerycz-ny, jednego dnia za najważniejsze uważałem to, drugiego — tamto. Teraz mój świat wartości ustabi-lizował się.

Marzy mi się, by w Łomży powstało stowarzyszenie czy klub miłoś-ników kultury Wschodu. Znam wspaniałych ludzi, którzy mogliby nas tu odwiedzić: specjalistów od akupunktury, walk, muzyki itd. Bo sama walka może być pasją tylko nielicznych. Oni odkryli już w sobie pewne potrzeby i prawdopodobnie na nich nie poprzestaną. Co jednak z pozostałą młodzieżą. Być może to, co chcielibyśmy zaproponować pozwo-liłoby także im znaleźć coś, co — je-żeli nie staloby się jeszcze pasją — potrafiloby chociaż zainteresować



tańczyć mo

Taniec stał się niemal obowią-zkiem towarzyskim. Młody człowiek który tańczyć nie umie, czuje się często upośledzony. Tzw. komplek-s towarzyski rodzi się również z nie-dostatecznej znajomości form towa-rzyskich lub braku swobody w ich stosowaniu. Na sali tańców powin-niśmy pamiętać o tym, że ▲ swój zachowaniem nie obrażamy innych. ▲ stosujemy słowa: „proszę”, „dzię-kuje”, „przepraszam”. ▲ chłopcy proszą dziewczynę ukłonem i zwyczajową formułą typu: „Czy mo-gę prosić do tańca?”. ▲ Przed ukłonię-patrzmy na osobę, którą prosimy skłaniamy wyraźnie głowę i zno-sz oglądamy na wybraną partnerkę. Skłony w pół są śmieszne. ▲ Dziew-czyna może odmówić: „przepraszam, jestem zmęczona”, „może następn-taniec?” itp. Jeśli jednak jest zna-czona dla jednego, nie powinna ta-ko tańca tańczyć z kimś innym. ▲ Chłopak nie powinien pytać powodów odmowy, lecz uśmiechnąć się, przeprosić, skłonić i odejść. Prowadząc partnerkę na parkiet albo podajemy jej ramię, albo idzie-my po jej lewej stronie, nieco tyłu. ▲ Nie wypada zostawić na parkiecie osoby, która nie potrafi tańczyć. ▲ Można zapoznaną w tańcu dziewczynę zaprosić do bufetu, szczególnie, gdy uskarża się na zmę-czenie, pragnienie, ale nalegać na to można ▲ Po tańcu zawsze odpo-wiadamy partnerkę na miejsce.

Naukę tańca zaczynamy od foka-trota, gdyż jest nieskomplikowany, łatwo się potem nauczyć quickste-pa, bluesa, słowa i tanga. Tańców my go małymi krokami, na całym stopach, w rytmie: wolny, wolny, szybki, szybki. Podstawowe figu-ry: czwórkrok do przodu, czwórkrok do tyłu i obrót w prawo. Czwórkrok do przodu: krok 1, wolny. Ta-cerz: lewa noga w przód, tancerka prawa w tył. Krok 2, wolny. Tancerka prawa noga w przód, t-ka: lewa w tył. Krok 3, szybki. T.: lewa noga w bok, t-ka: prawa w bok, krok 4, szybki. T.: dosuwa prawą nogę do lewej, a t-ka: — lewą do prawej. Czwórkrok do tyłu. Dwa pierwsze kroki partner idzie do tyłu, zaczynając od lewej nogi, a partnerka — oczywiście do przodu — od no-gi prawej. Następne dwa szybkie kroki — identycznie jak w pierwszej figurze. Obrót w prawo. T.: lewą nogę stawia ukośnie w tył, a t-ka — ukośnie w przód prawa. Krok drugi to przeniesienie ciężaru ciała tancerza do przodu na prawą nogę, a tancerki — do tyłu, na nogę lewą. Krok 3 — T.: stawia lewą nogę w bok, plecami do linii tańca, a t-ka: prawa w bok, twarzą do linii tańca. Krok 4 — T.: dosuwa prawą nogę do lewej, a t-ka: — lewą do prawej. Dwa ostatnie kroki są szybkie.

W podobny sposób obracamy się w lewo. Każdą figurę możemy powtarzać dowolną ilość razy.



BEZWŁAD

Wokoło nic a nic.
Iść dalej nie można, a wrócić
nie ma po co.
Można sobie pogratulować.
W zasięgu uczucia i kroku — pustka.
To tak, jak brak dłoni dających siłę,
przypominających:
żyjesz dla mnie.

Anna Pielunowicz
(Łomża)

OGŁOSZENIA

— Oddam wszystkie jutra świata
Za garść spełnienia

— Wymienię niewiarygodne
przestrzenie pustoty i oglupienia
na praktyczny w użyciu
talent geniusza

Jolanta Wasilewska
(Zambrów)

SZARA GĘŚ

Ledwie przyszła, wprowadziła gęś
swe rządy w kurniku,
Zaczęła ustanawiać zmian, reform
bez liku:
Kurom kazała kwakać, gęsiom leżeć
na drzewa,
Kogutom zabroniła „kukuryku”
śpiewać.
A kiedy się wykluły maleńkie
pisklęta
Wielce ich edukacją gęś była
zajęta.
Przy jej boku kureczęta pływać się
uczyły
I dzięki tej nauce wnet się potopiły.

Ze to tylko w kurniku? — Niech
się nikt nie ludzi
Bo takie szare gęsi są także wśród
ludzi.
Nieraz w państwie się zdarza
podział właśnie taki:
Władca — gęś, kraj — kureczęta,
naród — inne ptaki.

Wanda Kapica
(Zambrów)

—▲—

Ze szybko daliśmy się życiu
ugłaskać
W zamian za ciepło i spokój ducha?
Ze w ciepłą kaszę nikt nam
nie dmucha,
Ze każdy może po mordzie nas
trząaskać?

Ze brak kultury, że znieczulica?
Pan w naszym wieku zarabiał sam
I to za przykład ma posłużyć nam?
Ach! Pana chowała ulica.

A jednak wyszedł pan na człowieka,
Choć burdy robił pijany tata
I w jednych portkach przez całe
lata.
I głód, i lez gorzkich wylana rzeka.

My w samochodach piękni, cyniczni,
Wpatrzni ciągle w telewizory
Życie spychamy na inne tory
Bardziej leniwi i mniej liryczni.

Jolanta Wasilewska
(Zambrów)

SZABLON

Prozaiczny żart
który nosisz na stopie
to nie tylko okrycie nogi
to coś więcej —
— twój indywidualizm
lecz odmiennosć zanika
wszyscy noszą się szablonowo
przestajemy być sobą
a stajemy się tłumem ludzi
w takich samych butach
tłumem
który przemierza swą codzienność
nie bacząc na przeszkody
tłumem,
który potrafi zdeptać
każdego indywidualistę
chodzącego boso

Wiesław Czupryński
(Łomża)

WIDZENIE

Wczoraj
widziałem anioła
nie miał
skrzydeł i ciała
był promieniem światła
wpadającego
do mej mrocznej izby
chciał mnie uczynić sobą
lecz nie wiedział
że mam atawistyczne ciało
dzisiaj
wiem że to był sen
jutro
nie będę
nawet tego pewien

Wiesław Czupryński
(Łomża)

CHWILA O ŻYCIU

jak nie pajęcza
snuje się moje malutkie życie
nigdy nie dorosnie
nigdy nie dosięgnie owocu
z jabłoni marzeń
drży między początkiem a końcem
jest jak babie lato zbyt wiotkie
by utrzymać stopy wiatru
mój pajacek traci siłę
na szczeblach nierozumnych myśli
ech
moje malutkie życie
jak nie snuje się pajęcza

Beata Szore
(Zambrów)

grzeszny nałóg

Zazwyczaj odkrywa się ich już w
szkole. Siedzą obok was, nieraz w
tej samej ławce. Andrzej, Mariola,
Marek. Właściwie tacy sami jak wy.
A jednak inni. Piszą wiersze. Wie-
cie o nich, gdyż „sprzedają” swoje
umiejętności rymowania. Czasami
wykorzystuje ich nasza polonistka,
by z okazji różnego rodzaju świąt
czy uroczystości napisali wiersz „na
okoliczność”. Bywają jednak tacy
— i tych jest chyba zdecydowana
większość — którzy piszą po chichu,
dla siebie, nie zdradzając się przed
nikim z tego „grzesznego, nałogu”.
Rejestrują w swych wierszach rze-
komo intymne odczucia i niepokoje.
Wyda im się, że w zaszyfrowa-
nych metaforami tekstach obnażają
się do końca, co jest oczywiście złu-
dzeniem, bo wiersze te na ogół,
choć poświęcone ich miłości, czy
bólom wynikającym z przeżytego
akurat zawodu lub porażki, są sym-

boliczne i bardzo dalekie od konkre-
tów. Poezja bowiem, w odczuciu
początkujących adeptów pióra, wy-
maga odpowiedniego przybrania,
wystroju, niczym pan młody zmie-
rzający do ołtarza z oblubienicą.
Wszak trudno wyobrazić sobie żon-
kosia bez odpowiedniego garnituru,
lakierok, muszki, rękawiczek, a ją
— bez welonu, wianka, sukni ślub-
nej itp. Drzemiący w nas naturalny
instykt poezjowania zostaje ufor-
mowany na obraz i podobieństwo
mistrzów, z którymi aktualnie ob-
cujemy zasiadając w ławie szkol-
nej. Dziś może to być akurat Mic-
kiewicz, jutro Słonimski, czy Jas-
trun. Męczą się młodzi pocii nad ry-
mami, które zabierają im całą ener-
gię, a w trakcie szukania rymu do
słowa „cietrzew”, czy „kocham” gu-
bią nie tylko wątek, czy koncept, a-
le przede wszystkim nastrojowość,
patos, a więc prawdę swojego li-
rycznego wyznania. Bo trudno im
sobie wyobrazić, że wiersz może
nie mieć rymu. Zamiast własnymi
słowami zapisać to, co ich boli, albo
cieszy, zamiast mówić swoim włas-
nym językiem, przemawiają do nas
slangiem poetyckim, grypsują li-
ryczną. Posługują się wręcz tea-
tralnymi gestami, cierpią za milio-
ny i to katusze, liczą gwiazdy na
wymagającym niebie, rzucają
się w przepływające gdzieś w kos-
micznej perspektywie rzeki, za-
miast stąpać po bruku swojego
miasta, albo iść urwistym brzegiem
Narwi.

I to jest ten pierwszy etap poez-
jowania. Naśladownictwo. Wiersze
młodego poety są tym lepsze im
bardziej będą podobne do tekstów
Różewicza czy Wojaczka. Umiejęt-
ność naśladowania jest sprawdzia-
nem talentu. Tak to sobie wyobra-
żają młodzi kandydaci na literatów.
Tak ich oceniają koledzy i znajomi.
Ci, którzy piszą po swojemu są
dziwni, słabi, gorsi. Ich życie kom-
plikuje się przez to. Mają mniej
przyjaciół, więcej kłopotów.

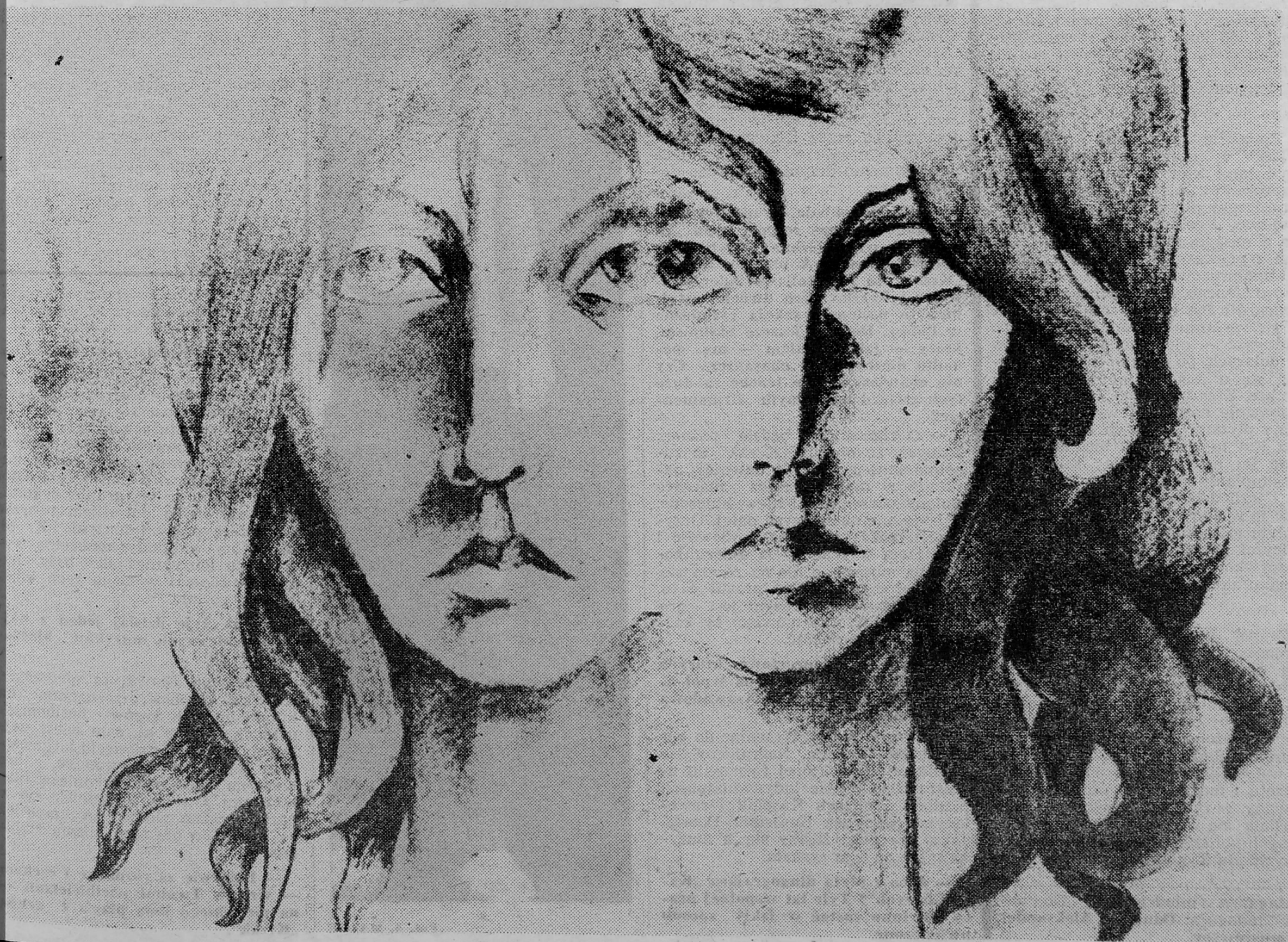
Oczywiście nie musi to być regu-
łą. Tak jak nie może być nią to, by
wszyscy pisali w sposób niekonwen-
cjonalny. Najważniejsze, by pisanie
wierszy wynikało z naturalnej po-
trzeby. A wtedy tak rymy „często-
chowskie” uwydatniające banał, jak
i wiersz biały odkrywający naj-
bardziej zaskakujące prawdy o ży-
ciu mają równą wartość. Dla jed-
nego i drugiego z piszących. Z tym,
że tylko jeden z nich może być po-
etą

MAGISTER

9

KONTAKTY
30 | 1983

pióro szuka talentów



Andrzej narysował



Jacek ofiaruje

singel miesiaca

Jeśli poznajesz swego idola, napisz do 7 lutego br. na adres „Kontaktów”.

Jeśli masz szczęście, sierotka wylosuje ci singel.

za kulisami

(Samodzielna, nieodpowiedzialna, plotkarska rubryka, ocierająca się o skandal i proces sądowy).

*

Miłośników muzyki rockowej możemy zapewnić, iż nie uda im się obejrzeć „na żywo” koncertu grupy „Różowe Czuły”, której piosenka „Dentysta-sadyści” weszła przebojem na Telewizyjną Listę. Dzieje się to z tej prostej przyczyny, że „Różowe Czuły” nie istnieją. Jest to po prostu Maryla Rodowicz (w podwójnych okularach chyba) i jej „Gang Marcela”, ponadto do nagrania wypożyczono dwóch muzyków z zespołu „Lombard”, dlatego brzmienie tejże piosenki tak przypomina inne hity wspomnianej grupy. Tekst został napisany przez pewnego młodego człowieka, na pomysł wpadli zaprzyjaźnieni z nim panowie z telewizji. Chodziło o pewien rewanż. Piosenka miała iść tylko jeden raz, ale chwyciła i straszy się nią dzieci w godzinach wieczornych.

*

Redakcje muzyczne rozgłośni PRiTV w całym kraju zasypywane są listami których autorzy proszą o zaprezentowanie jakiejś nowej, zagranicznej płyty. Tymczasem mało kto wie, iż cała muzyka prezentowana w naszym radiu pochodzi wyłącznie z prywatnych płyt dziennikarzy i współpracowników. Nie ma w tym nic dziwnego, gdyż zachodnie firmy fonograficzne nie są zainteresowane w przysyłaniu nam płyt, gdyż po pierwsze — nie płacimy tantiemów w dolarach, po drugie — nie prowadzą się u nas oficjalnej sprzedaży tychże. Zresztą za co? Za złotych? Zabawnie natomiast wygląda historia z płytami „Polskich Nagrań”. Otóż jest to firma tak biedna, iż nie stać jej na wysłanie kilkunastu egzemplarzy nowej płyty do rozgłośni i jeśli dziennikarz chce przedstawić ją w audycji, musi iść do sklepu i płytę sobie kupić. Nie na darmo publiczność pisząc o naszym przemyśle rozrywkowym używają określenia „manufaktura”.

*

Zespół „Perfect” słynie nie tylko z piosenek, ale i z akcji, które jakoś nie zawsze znajdują akceptację u odbiorców. Przed kilkoma tygodniami grupa miała wystąpić w jednej z wiosek woj. zamojskiego, na inauguracji założonego tamże Klubu Miłośników Radia. „Perfect” przyjechał do wsi w składzie trzyosobowym, bez sprzętu i mocno fizycznie niedysponowany, w związku z czym młodzież musiała się zadowolić obejrzeniem samych oblicz — donosi felietonista „Przeglądu Tygodniowego”.

Magazyn młodzieżowy „Kontaktów” redagują: Danuta i Aleksander Wroniszewscy.

ty zgadniesz

recenzja na wyrost

budka suflera

Nie jest żadną filozofią dla kogoś, kto całe lata zajmuje się muzyką rozrywkową, napisanie recenzji z koncertu zespołu młodzieżowego. Postanowiłem zatem napisać recenzję z koncertu, który jeszcze się nie odbył, a mianowicie występu „Budki Suflera” w Łomży. Jak informują plakaty, grupa ta wystąpi dopiero w lutym. Zarówno dla mnie, jak i dla czytelników może być ciekawe porównanie tego tekstu z koncertową rzeczywistością.

„Budka Suflera” wystąpi w mocno zmienionym składzie, zresztą nie dziwnego, bowiem w ciągu dziesięciu lat istnienia przez zespół przewinęło się wielu muzyków. Niezmiennie pozostaje w niej lider i kompozytor Romuald Lipko, który oprócz normalnej działalności koncertowej zajmuje się lansowaniem nowych twarzy. Najnowszym odkryciem Romualda jest wokalistka występująca tylko pod imieniem „Urszula”, dziewczyna o bardzo jeszcze surowym głosie, uprawiająca wokalistykę w stylu modnego obecnie rocka. Ale przecież wiadomo, iż popularność zdobywa się nie wysokim poziomem artystycznym, lecz piosenkami-prze-

bojami, zaś jeśli o to chodzi. Lipko jako kompozytor sprawdza się tu za każdym razem. W ten sposób wylansował przecież Izabelę Trojanowską, Urszulę, ostatnio zaś dał szansę Feliksowi Andrzejczykowi, pisząc mu piosenkę „Jolka czy pamiętasz”.

Sporo zastrzeżeń można mieć jednak do poziomu instrumentalistów tworzących „Budkę Suflera”; nie tak dawno odszedł z zespołu dobry gitarzysta Borysewicz, bardzo schematycznie, od lat prawie tak samo, gra na perkusji Tomasz Zeliszewski. Sam R. Lipko, grający na instrumentach klawiszowych, nie imponuje niczym ciekawym. Jedno wszak „Budce” i jej liderowi trzeba przyznać: grupa ma dobre aranżacje, napisane przez Romualda bardzo starannie i zagrane poprawnie.

W sumie koncert nie wyróżni się niczym szczególnym ani oryginalnym, gdyż „Budka Suflera” w grupie zespołów rockowych tak modnych i popularnych ostatnio, jest chyba najbardziej tradycyjna. Dobrze się dzieje także, iż nie próbuje na siłę uprawiać tzw. spontan, bo efekty takiego działania są często wręcz żenujące.

„może byłem dyktatorem”

Z Ryszardem Skibińskim rozmawia Jacek Grün.

— Przez kilka lat pracowałeś w „Kasie Chorych”. Stawiano was nawet za przykład wzorowej pracy w zespole. Teraz poszedłeś do grupy „Krzak”. Dlaczego?

— Rozmowy na temat przejścia do innego zespołu prowadzone były przez kilka miesięcy, miałem trzy ciekawe propozycje. Decyzję podjąłem we wrześniu, po powrocie z RFN. Dlaczego akurat odpowiada mi „Krzak”? Otóż reprezentuje on tzw. śląską szkołę grania bluesa, która wywiodła się po trosze ze słynnej kapeli Józefa Skrzeka „SBB”. Polega ona przede wszystkim na absolutnej perfekcji instrumentalnej. To słysząc przecież w grze Antymosa Apostolis (jesteśmy razem w „Krzaku”), czy w formacjach stworzonych przez Ireneusza Dudka. Myślę, że granie w takim zespole mnie samemu przyniesie bardzo dużo korzyści.

— Tak się składa, że niezbyt dobrze kończą u nas zespoły typu „all stars”, a więc złożone z wybitnych indywidualności. A przecież obecny „Krzak” to Apostolis, Winder, Kawalec i Ryszka, tych dwóch ostatnich to najlepsza sekcja rytmiczna w Polsce. Doszedł jeszcze Skibiński, który — jak słyszałem — ma ponadto niezbyt miły charakter. Czy nie obawiasz się, że trochę za dużo tych gwiazd na jednym firmamencie?

— O charakterze będzie później. Zauważ, że obecny „Krzak” to zupełnie inna grupa niż dawniej, nastąpiły w niej przecież znaczące zmiany personalne i niewykluczone, iż będą one następować dalej. Oczywiście, każdy ma inną osobowość i cała rzecz w tym, by ją ukierunkować na muzykę, a nie na rozgrywkę personalną. Chodzi po prostu o to, by każdy rozumiał czym jest gra zespołowa. Krótko mówiąc: by każdy mógł sobie pograć.

— Nagrania koncertowe, których słuchałem, były robione na wół amatorsko. Jak wygląda zawodowa strona medalu?

— Jeszcze lepiej. Wracając do poprzedniego pytania. Nagraliśmy w studio płytę, w której tworzeniu uczestniczyły dalsze indywidualności: pianista Wojciech Karolak i rewiacyjny skrzypek Krzesimir Dębski. Jakoś nie pogryźliśmy się, a muzyka tylko na tym zyskała.

— A co z płytą długogrającą „Kasy Chorych”? Tyle lat wspólnej pracy powinno zostać w jakiś sposób uwieńczone.

— Lepiej o tym nie mówić. Dwa lata temu nagraliśmy long play’a i do dzisiaj nie ma chętnego do jego wydania. U nas tłoczy się masowo coś zupełnie innego. Gdybym ci o-



Fot. J. MALEC

przedstawiamy
pisma muzyczne

Billboard

Charts, Labels Test
Popular Linkups
Country Charts
Jazz News
ASAP Poll
Summertime Blues
Hit Concert Guide



billboard

W wielu artykułach dotyczących muzyki rockowej i jazzowej autorzy powołują się na znane pisma muzyczne wydawane na całym świecie. Przedrukowuje się z nich ankiety czytelników i krytyków, listy przebojów itp. Niewielu jednak czytelników miało okazję zapoznać się z nimi, dlatego też postaramy się na tej kolumnie — w kolejnych odcinkach — przedstawić najgłośniejsze z nich, z których opiniami liczą się zarówno odbiorcy, jak i sami muzycy.

Amerkański tygodnik „Billboard” (na zdjęciu) jest najbardziej chyba fachowym i poważnym piśmem muzycznym, obok „Down Beatu”. Ukazuje się już 88 rok i zawiera materiały dotyczące wszystkich odmian i gatunków muzyki rozrywkowej i jazzowej. Na 76 stronach, znakomicie ilustrowanych w kolorze, znaleźć można w zasadzie wszystko, co zdarzyło się w minionych dniach na świecie: począwszy od recenzji, omówienia nowych i ciekawych płyt aż po listy przebojów. One zresztą zajmują znaczną powierzchnię każdego wydania, ustalane zaś są na podstawie informacji o sprzedaży płyt w sklepach. Mamy tu więc listę log play’ów, singli, muzyki country, black music, rhythm and bluesa, przebojów w poszczególnych krajach, przebojów amerykańskich i światowych, listy przebojów największych rozgłośni radiowych i poszczególnych stanach USA itd. Ustalane są ponadto listy najciekawszych kaset video z programami muzycznymi. Na barwnej, kilkunastociekowej wkładce przedstawiany jest obszerne jakiś konkretny wykonawca. Znaczną część każdego numeru wypełnia — zgodnie z amerykańskimi zasadami — reklama produktów przemysłu rozrywkowego.

powiedział o perypetiach związanych z wydaniem płyty, chyba że brakłoby miejsca w piśmie.

— Co będzie dalej z „Kasą Chorych”?

— Nie chcę być złym prorokiem, ale „Kasa” musi się rozwalić, bo są tam zbyt duże konflikty wynikające z osobowości mało związanych z osobowościami w sensie muzycznym. I teraz o charakterze. Otóż może byłem w tej grupie dyktatorem, ale chyba potrafiłem tworzyć atmosferę pracy i muzyki. Z tej dyktatury wynikały konkretne wydarzenia muzyczne, jakie były naszym udziałem w ciągu tych kilku minionych lat.

— Jak żyje dzisiaj jeden z najpopularniejszych muzyków bluesowych?

— Marnie. Stawki są niewielkie, cały zaś zarobek przeznaczam na kupno nowych typów harmonijek ustnych, a ceny są, sam wiesz, najniższe, jakie. Od dziesięciu lat mieszkam z rodziną w kawalerce, bez szans na większe mieszkanie w Białymstoku. Cwicząc w łazience, bo w parku czasem zimno. A przecież coś w końcu dla tego miasta zrobić.

— Dziękuję za rozmowę i czekam — wraz z Twoimi wielbicielami — na pierwszego long play’a z grupy „Krzak”.

fan-klub redaguje Jacek Grün



Ulica Długa, szczególnie między Krótką a placem Kościuszki, miała swój specyficzny charakter i urok. Była nie tylko główną handlową ulicą miasta, dobrze oświetloną (co prawda: latarniami na słupach telefonicznych), posiadającą wiele przyzwoicie zaopatrzonych sklepów o nowoczesnych, dużych wystawach, ale — co najdziwniejsze — w sobotnie popołudnia i wieczory służyła jako miejsce tłumnych spacerów młodzieży żydowskiej. Dosłownie: w tym czasie trudno było przecisnąć parzystą stronę chodnika, gdyż ten ciągle „kontredans” stanowił zwarty tłumek chodzący (przeważnie parami) tam i z powrotem — do późnych godzin swego religijnego święta. „Deptak” miał, naturalnie, swoje praktyczne cele poza, jak się zdaje, upodobaniem zwyczajem; był miejscem randek (stąd swoista „rewia mody” młodych, przystrojonych Żydówek i spotkań dla „geszeftu”). Ciekawe, że Żydów nie spotykało się nigdy w Ogródku Spacerowym (obecnie Park im. Jakuba Wagi), gdzie zawsze było rojno od parok sztubackich, a w niedzielę i święta — od nobliwych rodzin z dziećmi, ani w Parku Ludowym, chyba że koncertowała tam właśnie orkiestra dęta łomżyńskiego 33 p.p. Na marginesie trzeba dodać, że Park

znane, jednakże przesąd jest przesądem). Nazajutrz miasto dowiedziało się o przewrocie majowym. Na początku lat trzydziestych sklep przejęła rodzina repatriantów ze Stanów Zjednoczonych, która do wojny prowadziła artykuły galanterijne.

Dalej był słynny „Świt” — księgarnia z materiałami piśmiennymi i nutami — olbrzymi magazyn, pełen „kultury”, własność Jadwigi Dąbrowskiej i jej brata, Wacława Cieśluka. Tam chodzący się dosłownie po wszystkim, co potrzebne było do nauki: od gumki „Myski” po książki szkolne. W domu tym mieszkali: Maria Selenowa, wieloletnia nauczycielka języka francuskiego w Państwowym Gimnazjum Męskim im. Tadeusza Kościuszki, i jej mąż, dentysta; na drugim piętrze — państwo Tylińscy z dorosłym synem Feliksem (po śmierci swej matki przez cały rok nosił w butonierce świeży kwiat); byli oni właścicielami browaru w Łomży.

Dom przy ul. Długiej 4, niewielki, jednopiętrowy, „sławny” był z sodówki państwa Grzanków. W wąskim a długim lokalu było mnóstwo towaru: owoców i słodkości. Dlaczego „sodówka”? Taka przyjęła się nazwa tego rodzaju sklepów, gdzie przede

wy. Właściciel, mgr farmacji, wysoki, z lekka lysiejący mężczyzna, chodził zawsze z laską z racji dawnej kontuzji nogi. Obie wystawy posiadały szerokie, lastrykowe parapety; często starsi ludzie siadali na nich dość wygodnie, aby odpocząć. Na jednym z tych parapetów przysiadła przez cały okres mojej nauki w gimnazjum młoda dziewczyna (właściwie kilkunastoletnie dziecko), handlująca kwiatami od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Na imię miała, o ile pamiętam, Zosia. Kwiatki w małych rączkach po 10–20 groszy trzymała w dość płytkiej miseczce. W zależności od pory roku — były tam pierwiosnki, konwalie, bratki, narcyze, fiołki, niezapominajki itd. Byłem jej stałym klientem. W każdą sobotę, wracając po lekcjach do domu, kupowałem mały pęczek kwiatów swej Matce. Była też pod nr 10 w moich czasach księgarnia, nieco skromniejsza od „Świt”, należąca do młodego polskiego kupca, Zygmunta Marczewskiego. Po ukończeniu studiów na WSH (przemianowanej na SGH, a obecnie SGPiS) obrał on zawód handlowca. Księgarnia rozwijała się dobrze, mimo że wkrótce po jej otwarciu „Świt” przeniósł się do następnego domu na rogu ul. Długiej i Krótkiej. Jego właścicielem był znany

przede wszystkim siedziby drugiego potentata masarskiego w mieście, Świątajewskiego. Nie mniej znaczący szczególnie dla sztubaków, był skromny lokalik w suterenie, mieszczący sklep przyborów szewskich, p. Gerwina, choć — oczywiście — ani skóra, ani gwoździe młodzieży nie interesowały. Interesowały natomiast szalenie blaski do łyżew (też dzisiaj pojęcie zupełnie abstrakcyjne). Był to sport masowy. Ślizgano się dosłownie wszędzie: na rzekach, gliniankach, stawach, jeziorach, nawet po rynsztokach i innych ulicznych rozlewiskach. Ślizgały się male dzieci, młodzież płci obojga, a nierzadko ludzie zupełnie starzy. Kto nie posiadał pary łyżew, ślizgał się na jednej... W Łomży były dwie oficjalne ślizgawki: „u Czochańskiego” na stawie przy ul. Nowogrodzkiej (w okolicach obecnej ul. Łąkowej) i „u Chodźki”, u podnóża skarpy, przy ul. Zamiejskiej. Uczniowie płacili 10 groszy, dorośli 20. W niedzielę „u Czochańskiego” grywała orkiestra 33 p.p. Ale sprawniejsi woleli wypuszczać się na sieć kanałów po torowiskach na Pulwach, gdzie „trasa” kończyła się aż w lesie Jednaczewskim. Ponadto tam było „darmo”.

Na I piętrze mieszkał i posiadał swój gabinet dentysta Kagan, z którego synem Danielem „jechałem” od pierwszej do ósmej klasy gimnazjum. Była to bardzo kulturalna żydowska rodzina. W domu tym, posiadającym dwa fronty, od strony placu Kościuszki mieścił się w swoim czasie sklep winno-kolonialny, coś w rodzaju dzisiejszych „Delikatesów”, własność Mariana Smurzyńskiego; był także sklep hurtowy materiałów piśmiennych Pasmanika, który później przeniósł się na ul. Rządową. Ale nade wszystko „sztubę”, w szczególności płci pięknej, interesował sklep z przedziwnymi ciastkami typu wschodniego, własność Turka Alijewa, który po jakimś czasie wyniósł się z Łomży i otworzył znaną piekarnię turecką w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej. Były tam nie spotykane nigdzie wypieki cukiernicze, wśród których największym chyba powodzeniem cieszyły się ciastka „popadacz”; może dlatego, że były nie tylko smakowite, ale i... duże!

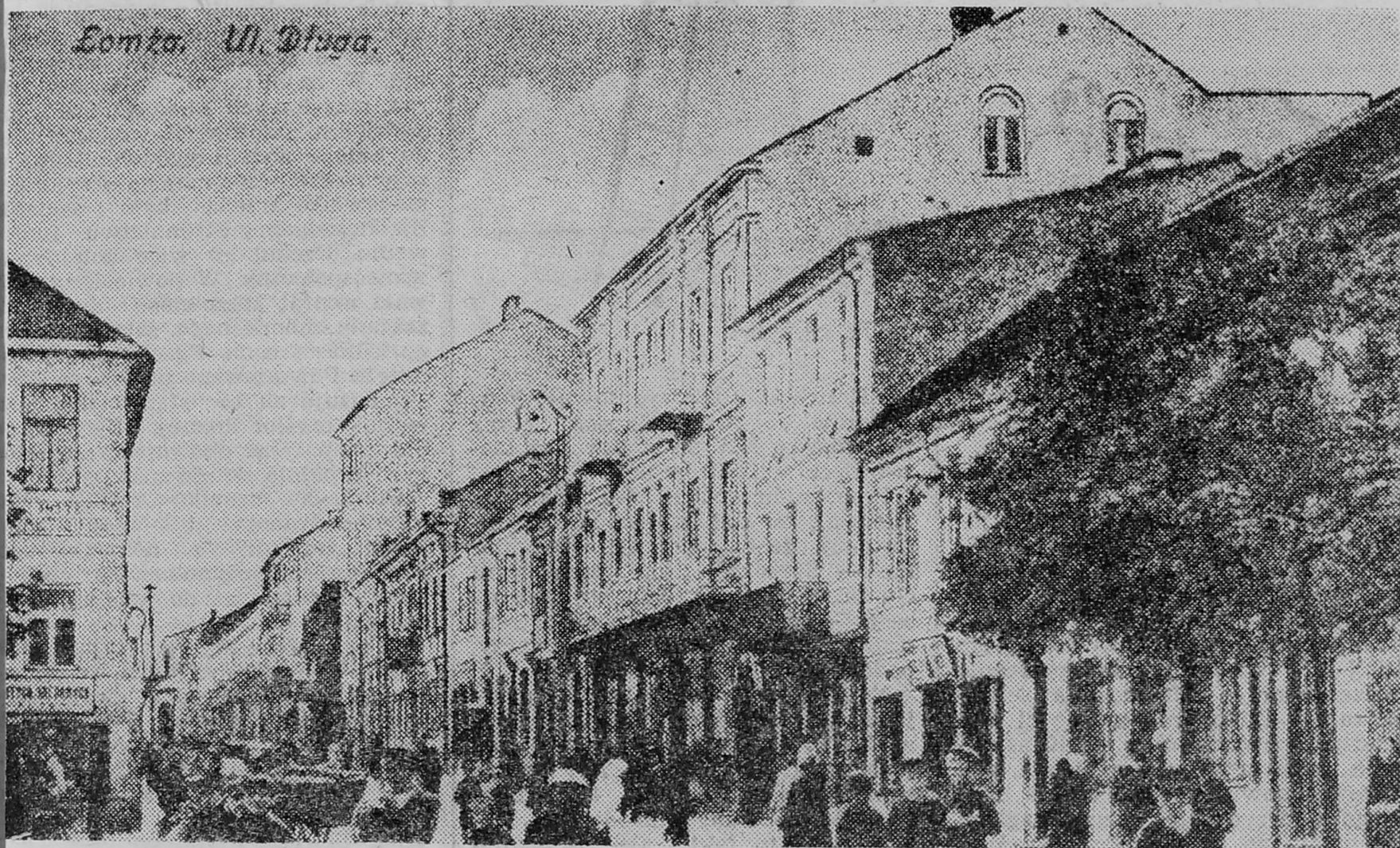
Od frontu ul. Długiej był ponadto sklep z rowerami Kiwejki — „drugi garnitur” tej branży w Łomży; prym dzierzył sklep przy placu Kościuszki, położony bliżej ul. Rządowej i słynnej restauracji Gabręta, należącej do Kokoszków, „króla rowerów” — marzenia wszystkich sztubaków (najlepiej firmy Ormande Zawadzki, Puch, Corona, Walter czy Sipiński). Tuż przed 1939 rokiem zjawił się drugi „król rowerów” w Łomży — Kulikowski (przy ul. Długiej 2).

Domy przy ul. Długiej 3 i 5, prawie identyczne, dwupiętrowe, solidne, stanowiły jakby jedną całość. Najbliżej ul. Bocznej był sklep z konfekcją i galanterią Kozłowskiej, żony farmaceuty zatrudnionego w aptece p. Liniewicza, a matki moich rówieśników szkolnych, Jerzego i Tadeusza oraz — młodszej — Zosi. Bliżej ul. Krótkiej była jedyna kwiaciarnia w mieście, a równocześnie sklep z owocami z własnych sadów, własność Weberowej. Tu kupowało się okolicznościowo kwiaty, ale „w modzie” bywały raczej kwiaty doniczkowe, nie cięte; zresztą wielu odmian dzisiejszych kwiatów, tak popularnych, jak goździki czy gerbery, wówczas się nie spotykało. Wśród ciętych dominowały róże i irysy, a z doniczkowych najpopularniejsze były prymule, hiacenty, i oczywiście, kaktusy.

Rzecz ujmując, ul. Długa, o sześćsetletniej tradycji istnienia, palona, burzona, niszczone przez hordy grabieżców różnych narodowości podobnie jak cała Łomża, w okresie międzywojennym swym wyglądem i charakterem wybitnie hałaśliwej, handlowej, śródmiejskiej ulicy nie mogła zachować nikogo. Rynsztoki, przeważnie pełne „czegoś”, co spływało ze Starego Rynku do placu Kościuszki, „kocie łby”, odrapane często tynki bezstylowych kamienic i wieczny ruch wozów na żelaznych obręczach — odstraszały wprost wiele rodzin od zamieszkania w tym ciasnym i zwartym wawozie miasta. Często jednak przywołuje w pamięci wygląd tej ulicy, bo jest ona dla mnie najdroższa i najpiękniejsza ze wszystkich ulic na świecie.

WOJCIECH ANTOSIEWICZ

moja ulica (2)



Ludowy był zdominowany absolutnie przez młode mamy bądź też bony lub mami z małymi dziećmi, pewnie dlatego, że — jak fama głosiła — położony był wśród sosen i świerków, a więc stanowił miejsce zdrowsze od Ogródku Spacerowego, gdzie panowała jakoby wilgoć.

Na zdjęciu ruch niezbyt wielki... chyba pora przedpołudniowa; jakiś wóz czy wózek i mnóstwo gapiów, młodych chłopców, co nie jest dziwne, jeśli zważyć, że fotografowanie w tamtych latach budziło zawsze sensację. Ci młodzi chłopcy to dzisiaj osiemdziesięcioletni już ludzie. Może ktoś się rozpozna?

Po prawej stronie dom z długim balkonem; to budynek nr 2, własność p. Narolewskiej, posiadający długą oficynę, sięgającą aż do ul. Dwornej (obecnie 22 Lipca). Dom i oficyna zachowane są do dzisiaj w stanie prawie pierwotnym. Pierwszym sklepem, licząc od placu Kościuszki, był zakład zegarmistrzowski Grodzińskiego. Na ścianie wisiało mnóstwo zegarów ściennych, a na przeszklonym konturze leżały kieszonkowe i „modne” (większość) ręczne, które wśród starszego pokolenia nie przyjmowały się szybko, ono bowiem lubowało się w „grubej cebuli”, noszonej na dewizce, złotej lub srebrnej, w kieszonkach kamizelki (rzadziej — na dewizce zwisającej od butonierki).

Następny był sklep moich rodziców z porcelaną i kosmetykami oraz aparatami fotograficznymi. Pamiętam dziwny zbieg okoliczności. Otóż 12 maja 1926 r. — nagle bez jakiegokolwiek przyczyn zewnętrznych — pękł i rozszarpał się na drobne części, stojący na półce, duży kryształowy wazon (zjawisko dość

wszystkim królowały napoje orzeźwiające, z wodą sodową z wielkich syfonów na czele. Właściciele byli ludźmi młodymi, dość niskimi i niesamowicie szczupłymi, podobnie jak ich jedyny (kilkuletni) synek, który pomagał rodzicom w sklepie, przeważnie obsługując syfon z wodą sodową. Tam też kupowało się najlepsze w mieście pestki z dyni, które cieszyły się wielkim wzięciem wśród sztubaków. Pestki gryzły się na lekcji, na ulicy, w domu, wypływając zamasyżycie łupinki na prawo i lewo. Szczytem elegancji i mody było gryzienie ich w kinie „Miraż” na balkonie i pstrykanie łupinkami w głowy siedzących na parterze.

Kamienica przy ul. Długiej 6 nie ma specjalnej historii. Istniejące tam cztery wąskie lokale sklepowe często zmieniały właścicieli i branżę. Byli nimi drobni kupcy żydowscy, oferujący galanterię i konfekcję w dość niskim gatunku. W pewnym okresie był to sklep elektrotechniczny Kawkiewicza, który nie mógł wytrzymać konkurencji z firmą „Erg” Rozentala. Ten ani gestami, ani wymową czy wyglądem nie przypominał nacji żydowskiej. Był inżynierem (kończył polską politechnikę) i wielce kulturalnym człowiekiem. Jego sklep znajdował się pod nr 8, w dość dużej, choć jednopiętrowej, kamienicy, zachowanej dotąd w całości. W domu tym był jeszcze sklep Glinki z przyborami malarskimi oraz fryzjer damsko-męski, bardzo „modny” z racji wprowadzenia parowej ondulacji.

Dom przy ul. Długiej 10 można określić jednym słowem: apteka Liniewicza, zajmująca dwie wysta-

lekarz i działacz lewicowy, dr Mieczysław Czarnecki. W opuszczonym lokalu po księgarni „Świt” otworzył sklep z rowerami inż. Kulikowski, który zaczął skutecznie konkurować z dotychczasowym monopolistą tej branży, p. Kokoszką z placu Kościuszki.

W pobliżu apteki Liniewicza znajdował się sklep radiowo-elektrotechniczny Borzekowskiego, założony w latach trzydziestych, a po paru zaledwie sezonach zlikwidowany, ponieważ całą rodziną właściciela wyjechała na stałe do Czechosłowacji. Była to żydowska, bardzo wyemancypowana rodzina, posiadająca dwóch synów, którzy przychodzili (razem z mamą) co roku na gwizdkę do naszego gimnazjum w strojach... aniołków.

Sbyła mniej ciekawa, mniej uczęszczana i posiadająca mniej podstawowych dla ludności sklepów, ale domy miała większe, wyjątkowo dwupiętrowe, solidniejsze. Widoczny na zdjęciu po lewej stronie narożny dom nosił nr 1. Hotel „Metropol” (który dotrwał do moich czasów) mieścił się na drugim piętrze. Nie był tak funkcjonalny i wielkomiejski (woda w dzbankach, żelazne łóżka z siennikami, jedna ubikacja), ale też i nie tak przeraźliwie drogi, jak dzisiejszy „Polonez”. Goście trafiali się rzadko, — przeważnie komiwojażerowie, czyli przedstawiciele różnych firm hurtowych, zjeżdżających do miasta w sprawach handlowych.

Wielki sztyl „Magazyn złotych i srebrnych biżuterii” za moich czasów już nie istniał. Nie wiem do prawdy, do kogo sklep należał. Kamienica ta jednak była sławna z innych „magazynów”. Dotyczy to



Któż z nas, gdy był młody i gdy rozpiekała go energia nie marzył o awansie. W miarę upływu lat zmieniały się jednak wymagania. Zmieniało się również samo pojęcie awansu albo — jak się to dziś mówi — kariery.

W okresie młodości mojego przyjaciela Gienka Górskiego, dziś szczęśliwego dziadka, marzeniem młodych było kupno na raty garnituru z wełny „sześćdziesiątki”. Współczesny młodzieniec mierzy znacznie wyżej. Jemu nie chce wystarczyć maluch na raty i spółdzielcza kawalerka. Marzy o „prawdziwym” samochodzie, choćby z zachodniomiejemskiego złomowiska, i o mieszkaniu własnościowym, najlepiej M-7, ufundowanym przez spółdzielnię mieszkaniową na kredyt za 2,5 miliona złotych polskich kryzysowych.

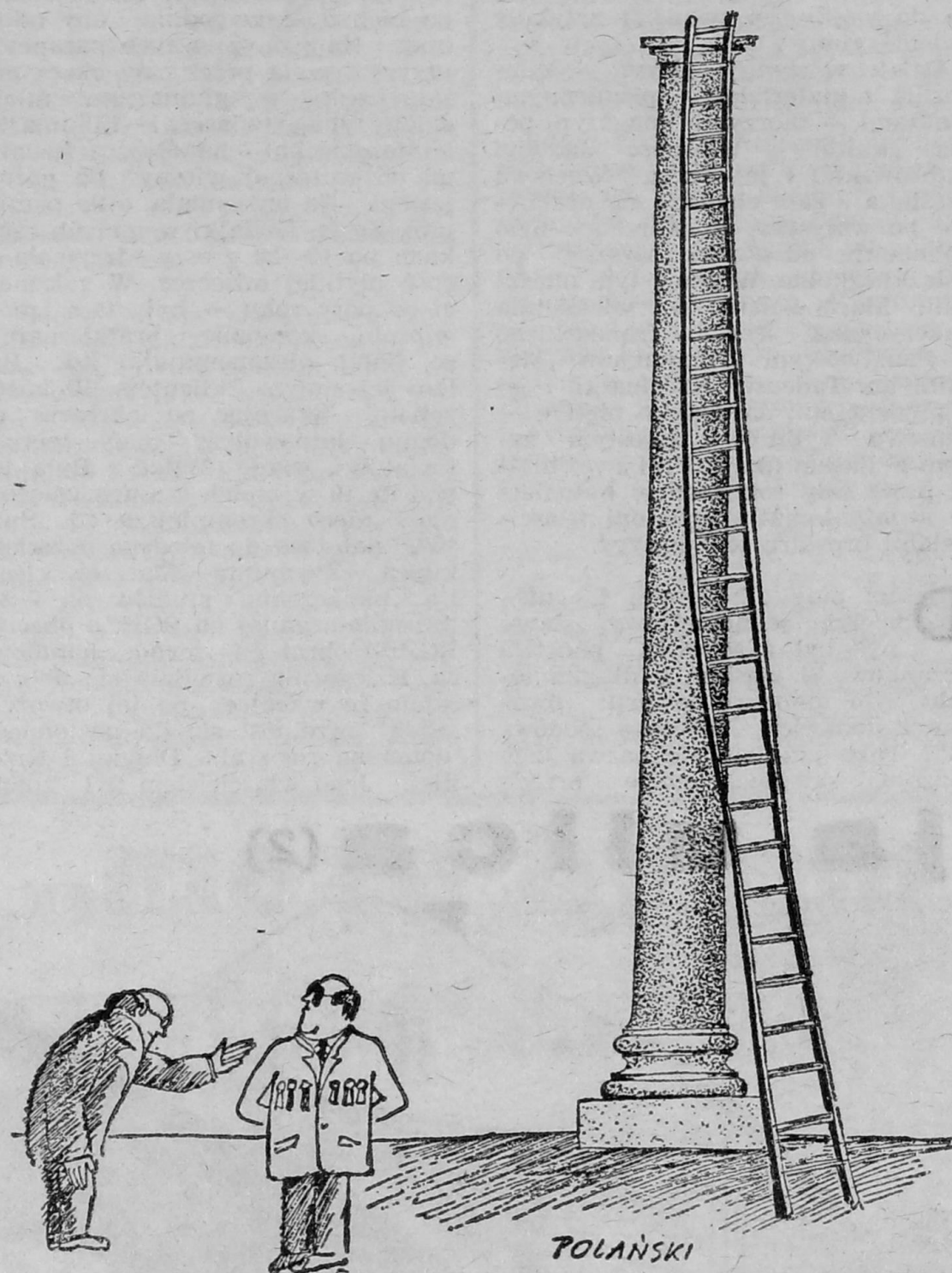
Mój przyjaciel „wystartował” bardzo szybko. Do pracy w Urzędzie Wojewódzkim zgłosił się w — odświeżonych proszkami do zębów — tenisówkach i czerwonym, ZMP-owskim krawacie, wywołując nim zgorszenie przyszłych współpracowników — jednego doktora i dwóch magistrów nauk prawnych. W ciągu zaledwie trzech lat przeszedł niemal całą tabelę płac od grupy 17 aż do 4.

Na własne mieszkanie nie oszczędzał. I dobrze robił, bo gdyby tak pierwsze swoje pobory złożył na książeczkę PKO, dziś, po trzydziestu kilku latach, kupiłby za nie pół litra wódki bez przekąski; oczywiście, pod warunkiem że doliczyłby dopisywane corocznie procenty, bo bez nich starczyłoby zaledwie na kilogram mortadeli. Książeczek PKO z wkładem po 5 złotych trzyma do dziś kilkanaście; na pamiątkę, bo świadczą one o licznych nagrodach, które wówczas obowiązkowo wpłacano na PKO, aby statystycznie rosła liczba oszczędzających.

Z kolejnego awansu mój przyjaciel zrezygnował. Proponowano mu wyjazd na placówkę zagraniczną, bo biegle władał językiem rosyjskim, ale nie pojechał. Nie mógł bowiem jeszcze nacieszyć się krajem po pięcioletniej zagranicznej tułaczce w okresie wojny.

Dobrnawszy do grupy czwartej, zatrzymał się w awansach. Może zadziałała znana zasada Petera, że „w każdej organizacji każdy pracownik dąży do osiągnięcia szczybla swojej niekompetencji”? I szczybel ten osiąga, dając odpowiedź na tytułowe pytanie Petera: „Dlaczego wszystko idzie na opak?” Mój przyjaciel nie znał zasady Petera i chyba wówczas nie znał jej jeszcze sam autor. W tzw. międzyczasie zmienił czerwony krawat na inny, spokojniejszy, a legitymację zaempowską — na partyjną. Pomimo tego nie przestał czuć się młody. A nie awansował z tej prostej przyczyny, że wyczerpał już drogę awansu zawodowego; aby dalej awansować,

awans



musiał wejść na tzw. nomenklaturę wojewódzką i rozpocząć drogę awansu społecznego.

Pewnego styczniowego dnia odnalazł go w terenie, gdzie prowadził jakąś kontrolę, telefon z sekretariatu przewodniczącego WRN-u: — Masz natychmiast zgłosić się w KW u kierownika Konstańczuka. Jeżeli nie złapiesz już autobusu, bierz samochód służbowy przewodniczącego PRN-u. Powiedz, że to polecenie Sześcińskiego — informowała sekretarka. — Chyba nie muszę ci tłumaczyć, czym zajmuje się Konstańczuk — zbyła mego przyjaciela, gdy usiłował dowiedzieć się czegoś bliższego o przyczynie tego nagłego wezwania do szefa kadr. Wiedział przecież, że nie kto inny, a właś-

nie Konstańczuk, przygotowuje kandydatów do zatwierdzenia przez Egzekutywę KW na stanowiska kierownicze w administracji.

Przewodniczący PRN-u już coś wiedział, bo dał samochód bez informacji, że to polecenie Sześcińskiego. — Szerokiej drogi, towarzyszu Górski, i do zobaczenia pojutrze na sesji — powiedział z zagadkowym uśmiechem na szerokiej twarzy, podobnej do księżycy w pełni.

Nazajutrz po południu mój przyjaciel jechał już do powiatu z niewielką walizką, zawierającą cały jego majątek. Jechał, aby objąć stanowisko sekretarza Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Awansował, to fakt, ale zamieniał wojewódzkie miasto na wioskę, w

której nawet światła elektryczne nie było. Pocięszal się wprawdzie zapewnieniem kadrowca, że to stanowisko przejściowe, a jak tylko wyszkoli i „ustawi” kadry tego powiatu, może liczyć na dalsze awanse.

Najważniejsze to raz wejść na nomenklaturę — zapewniał go przekonania kierownik Konstańczuk. Przemiany październikowe 1980 roku zastały mojego przyjaciela centralnym kursie dla kadr kierowniczych w Warszawie. Uczestniczył tam w wiecu z udziałem Gomulki a wieczorem słuchał z łoża sejmowej ekspozycji premiera Cyrankiewicza. Nazajutrz z uczestnikami kursu spotkał się wicepremier Płojas Jaroszewicz. Kazał wyłączyć dyktfon (magnetofonem nie dysponował nawet Urząd Rady Ministrów) i szczególnych okolicznościach używano dyktafonów do utrwalania treści na specjalnym woskowym walcu) i mówił o demokracji. W czasie przerw w zajęciach rozmawiał kursantami w korytarzu i częstował się z nimi papierosami. Jak równo z równymi! Ten swobodny styl bicia wicepremiera i jego wypowiedzi, nie pasowały do dotychczasowych pojęć o władzy i demokracji socjalistycznej. Wyglądały nawet herezje.

Poważna odnowa życia politycznego kraju była wszakże faktem, tam, w stolicy, w bezpośrednim zasięgu z centralnym ośrodkiem władzy, naprawdę odczuwalnym.

W Polsce powiatowej tego odnowy się nie odczuwało. Rozszerzenie demokracji przejawiało się tam w zwiększeniu udziału stronnictw politycznych w zarządaniu. W najbliższych wyborach rad narodowych obowiązywał podział mandatów. Z wojewódzkiego klucza wyborczego wynikało, że zajmowane przez mojego przyjaciela stanowisko trzeba było odstąpić Zjednoczonemu Stronnictwu Ludowemu. Cekał go więc kolejny awans społeczny. W powiecie walczył akurat stanowisko dyrektora zakładu chemicznego, zatrudniając go kilkaset osób. Egzekutywa Komitetu Powiatowego uznała, że Góski pasuje na to stanowisko. Jednak myślał inaczej. Zwyczajnie bał się przyjąć obowiązki, na których zupełnie się nie znał.

Odmowa uznana została za niesubordynację i mój przyjaciel „wypadł” z nomenklatury. Piętno niesubordynowanego ciąży na nim długo, aż do kolejnej odnowy.

W tę odnowę to mój przyjaciel bardzo nie wierzył. Mówi, że nie osiągnął jeszcze szczybla swojej niekompetencji i dlatego awansować. No i dlatego, że jego teczką z napisem „NIESUBORDYNOWANY” przy likwidacji powiatu gdzieś zaprzepaściła.

NA PIĘCIOLINII

kto się boi alicji?

refleksje



Po kilkuletnich wahaniach Telewizja Polska nareszcie zdecydowała się zaprezentować szanownej publiczności film muzyczny, zatytułowany „Alicja”, którego scenariusz — jak głosi czołówka — został napisany na podstawie słynnej powieści dla dzieci Lewisa Carrolla „Alicja w krainie czarów”. Swego czasu głośno było o tej realizacji, bowiem odbywała się ona przy pomocy telewizji belgijskiej i brytyjskiej, a do filmu zaangażowano całą plejadę gwiazd filmowych i muzycznych, z Suzannah York i Lulu na czele. Ta druga służyła — naturalnie — swoim głosem, znanym dobrze melomanom z lat sześćdziesiątych. Film kosztował ogromne pieniądze i miał być dowodem istnienia u nas prawdziwego przemysłu rozrywkowego, zdolnego konkurować z produkcjami zachodnimi.

Z grubsza rzecz biorąc — cała sprawa dotyczy pewnej pani, której mąż nie dotrzymał ślubnej obietnicy, w związku z czym panią popadła w frustrację i zaczęła odmawiać nawet kumpłom. Nie na długo jednak, bowiem zjawili się przystojny amant i sprawa przybrała stereotypowy obrót. Znakomita większość scen odbywa się zatem w wytwórni telewizorów,

JAN JANUSZEK

gdzie pracuje Alicja, zaś realizatorzy skupili się przede wszystkim na tej fabryce, bowiem trzeba było pokazać światu, że u nas telewizory produkują się również. W najmnij odpowiednich miejscach aktorzy śpiewali kieszkie piosenki pana Seroki, Belga, który uchodzi w swoim kraju za takiego wykonawcę, jak u nas np. Jerzy Połomski.

Kto choć pobieżnie poznał pierwowzór literacki, a takich czytelników jest przecież mnóstwo, dostrzeże natychmiast rewelacyjne analogie. Szkoda tylko, że uroczą pani York w roli Alicji nie zrobiła jeszcze *streak-teasu*, najlepiej pełnego, i nie wykonała kąpieli w wannie napełnionej hollywoodską pianą. Dopiero wtedy byłby prawdziwy *show*. Gdzieś w środku pojawiają się dymy i paranoiczne układy choreograficzne, będące dziełem mistrza sprowadzonego aż z Japonii. Mistrz był może i świetny, ale — niestety — do roboty dostał nasz rodzimy balet, który we wtorek tańczy w operze, w środę — w operetce, w czwartek nagrywa wstawkę w Telewizji jako ilustrację do piosenki, a

w sobotę wyrusza na trasę do Grójca i Elku. Skutek jest taki, że „Alicji” dzieci się boją, dorośli nie rozumieją, a miłośnicy sztuki profesjonalnej idą do najbliższego baru urządzić się z rozpacz.

Przed kilkoma dniami oglądałem amerykański film, który dopiero wchodzi na ekrany, a nazywa się „All That Jazz”, czyli — w naszym przekładzie — „Cały ten zgiełk”. Tłumaczenie jest sensowne, bowiem w slangu słowem „jazz” określa się muzykę rozrywkową w ogóle. Główny film „Jazz Singer” („Śpiewak jazzowy”), z Neilem Diamondem w roli głównej, zawiera muzykę *country* i *country rock*, a z jazzem nie ma nic wspólnego. Film „All That Jazz”, wielokrotnie nagradzany, także Oscarami, to dosyć banalna historia o reżyserze, a zarazem choreografie, który na Broadwayu przygotowuje rewelację. Wykonawcy środkami podniecającymi, gorzałą i chętnymi panienkami, dostaje zawalu, potem drugiego, wreszcie umiera, ale w stanie śmierci klinicznej ma kilka sympatycznych wizji. Przed oczami zaszokowanego widza przesuwa się zatem obraz po obrazie, prezentując rewelacyjne układy choreograficzne, genialne stroje, doskonałych tancerzy, śliczne dziewcz-

czyni, które w dodatku potrafią równo zatańczyć i śpiewać. A przede wszystkim odsłaniają się kłopoty amerykańskiego *show-bussinesu*; pokazują, ile trzeba nadludzkogo wysiłku i talentu, by publiczność przez dwie godziny siedziała z otwartą gębą.

Różnica między „Alicją” i „All That Jazz” jest mniej więcej taka jak między tamtejszym podejściem do widza i słuchacza, a podejściem naszym. Niestety, nasi realizatorzy zainspirowani przez prezesa Szerepańskiego, chcąc natychmiast przeskoczyć barierę dzielącą przemysł od manufaktury, zaczęli od końca, czyli od realizacji filmu — i skończyli w przepaść. Za reżyserów wzięli sobie prentera dyskotekowego Jacka Bromskiego i fachowca Jerzego Gruzę — zestawili tak komiczne, jak i wynik wspólnego przedsięwzięcia. Teraz okazuje się, że zachodnie telewizje cholernie nie chcą kupić tego gniewa, więc ciężkie pieniądze wydane zostały na zaspokojenie ambicji kilku panów, którzy — ostatnio — by zamilkli. Chyba że przygotowują kolejną ekranizację powieści Mam nadzieję, iż będzie to dzieło „Nędzarze”, oparte na „Nędznikach”.

budzik na wodę

Najlepszy zegar słoneczny odmierzal czas storożytnych tylko w pogodę, za dnia. Dlatego w starożytnym Egipcie pojawiła się klapsydra, którą ówczesni nazywali także zegarem nocnym lub zimowym. Był to po prostu dzban z otworem w dnie, przez który wyciekała odmierzona ilość wody. Tak np. ograniczano czas przemówień Ateńczykom. Podczas procesów sądowych, które dotyczyły spraw ważnych, wodną klapsydrę napełniano po brzegi; białostkom odmierzano tyle, co na dnie. Kiedy mówca przerywał, zatykano otwór, gdy rozpoczynał na nowo — odkorkowywano go. Platon, choć darzył pogardą wszelkie praktyczne zastosowania nauki, miał podobno skonstruować zegar wodny, który o brzusku oznajmiał początek zajęć. Jak się przypuszcza, budzik wodny Platona był naczyniem zaopatrzonym w lewar. Woda wlewała się, dopóki jej poziom nie osiągnął kolanka lewaru. Wówczas lewar opróżniał je do innego zbiornika, a wypierane powietrze dmuchało w gwizdek.

Klasyfikacja jednak nie była aż tak dokładna, bo przecież woda nie wyciekała z jednakową prędkością: im słup wody w naczyniu był wyższy, tym szybciej wypływała, więc czas wypływu jednej miarki wcale nie był dwukrotnie krótszy niż dwóch. Również zanieczyszczenie otworu powodowało zmianę szybkości wypływu wody.

Dopiero Ktesibios rozwiązał ten problem. Jego zegar wodny miał stałą prędkość przepływu. Otwory w naczyniach wykonane były z metalu szlachetnych lub takichże kamieni — nie zatykały je ani brud, ani rdza, łatwo je było czyścić. Ktesibios użył trzech połączonych naczyń zamiast jednego. Napełniano tylko pierwsze naczynie. Drugie posiadało wylot w dnie, a na ścianie bocznej otwór przelewowy, taki jak we współczesnych wannach. W trzecim naczyniu unosił się na wodzie pływak w kształcie bębna, podnoszący się wraz z poziomem wody. Z pomocą przekładni zębatej pionowy ruch pływaka obracał wał napędzający koła zębate, dzięki którym figurki wskazywały godziny o rozmaitej długości w różnych porach roku.

ucywilizowana kukurydza

Jest to jedyna roślina zbożowa, która nie potrafi samodzielnie rozsypywać nasion. Całą kolbę kukurydzy otula dokładnie szczelny panacz — bez pomocy człowieka roślina ta nie może więc egzystować w stanie dzikim. Jest prawdziwym unikatem wśród traw zbożowych. Wiecha kukurydzy składa się tylko z kwiatków męskich, posiadających po trzy woreczki, w których mieści się 2500 ziarenek pyłowych, z łatwością porrywanych przez wiatr. Kwiatostany na pedach bocznych, z których powstają cylindryczne kolby, składają się z kwiatów żeńskich. Zależność tych kwiatów posiada słupek zakończony jedwabistym owłosionym znamieniem, które służy do chwytania niesionych przez wiatr pyłków. Zapyła się więc krzyżowo. Ale po wytworzeniu nasion człowiek musi jej pomóc, bowiem to właśnie on, drogą selekcji, uzależnił roślinę od siebie.

TANIE DANIE

fugi

4 żółtka, 4 szklanki maki, 3 łyżki cukru i 25 dkg margaryny, 1 łyżeczka proszku do pieczenia, zagnieść na ciasto. Podzielić na trzy części. Jedną wyłożyć na dno prozdu, posmarować dżemem. Do drugiej części dodać 3 łyżki kakao i rozkruszyć albo zetrzeć na tarce grubych oczkach na warstwę ułożoną w prozdu. Następnie ubić białka na pianę, dodać 25 dkg cukru-pudru i wyłożyć na warstwę kakaową. Trzecią część ciasta (najmniejszą) rozkruszyć po wierzchu. Piec około godziny. (ij)



galeria trzech fotosów



W galerii fotograficznej przy Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Ciechanowcu każdy amator może zaprezentować owoce swoich łowów z aparatem i umiejętności techniczne. Autorzy zamieszczonych w witrynie fotogramów są jednocześnie laureatami nagrody, przyznawanej przez jury. Prezentujemy jedną z trzech wyeksponowanych prac Sławomira Uszyńskiego z Ciechanowca.

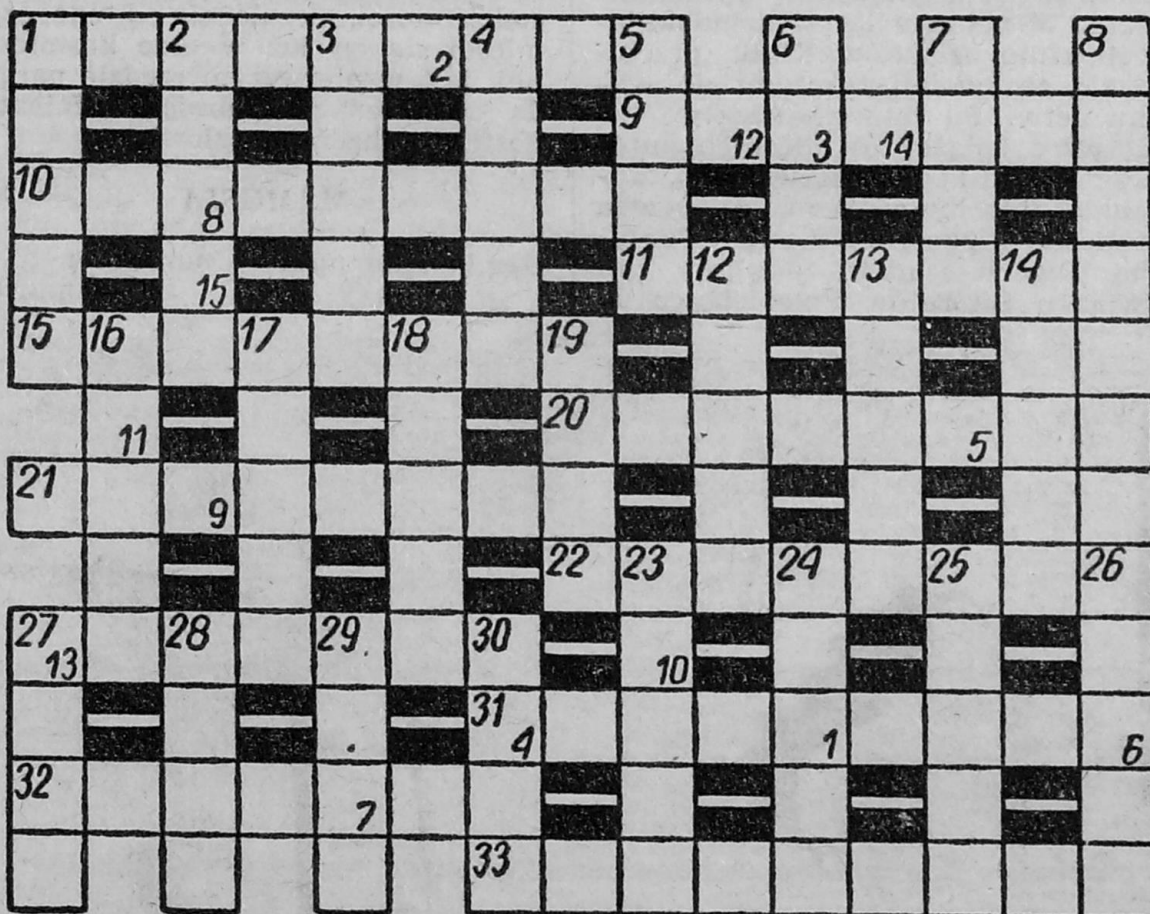
próg szczęścia

Progi naszych blokowych mieszkań, choć wazutkie i ledwie zaznaczone, dla świeżo poślubionej małżonki są nadal miejscem ceremonialnego noszenia na rękach. Ten rycerski obyczaj wywodzi się z krajów skandynawskich, gdzie najwcześniej młody mąż wnosil żonę na rękach do wspólnego domu, by ta nie traciła nogą jakiegoś ducha mieszkającego pod progiem, co mogłoby przynieść fatalne skutki, a nawet śmierć oblubienicy. Próg domu stanowił w dawnych wiekach granicę między zewnętrznym światem pełnym złych duchów. Właśnie pod progiem chowano zmarłych samobójców, zmarłych nagłą śmiercią, dzieci martwo urodzone i te, które skończyły bez sakramentu chrztu. Na Kielecczyźnie nie rąbano na progu drew. Wschodni obyczaj zakazywał stać w tym miejscu i głośno mówić. Na Mazurach młoda para, wychodząc do ślubu, przekraczała próg, na którym leżała siekiera skierowana ostrzem ku górze. Niemowlę, prosto od chrztu, matka chrzestna przenosiła przez próg przykryty kożuchem. Zapewniało to dziecku wygodne życie i chroniło je przed duchami. Kiedy zaczynało chodzić, dorośli pilnowali, by przeszło próg w butach — inaczej stanie się żebrakiem i obdartusem. Gospodyni, która oblała wodą to zaczarowane miejsce — długo lała potem łzy. Natomiast ten, kto gołą pupą siadał na progu, długo nie pozbywał się liszajów na twarzy.

uczyć się we śnie

Umysły twórcze i pracowite nawet te 5-8 godzin sennych przynależnych organizmowi na wypoczynek uważali za niepowetowaną stratę. Uczyć się we śnie! Taki wniosek prowokowało, na przykład, niezwykłe zachowanie się ludzi, którzy problemy naukowe potrafili rozwiązywać we śnie. Robert Wiener, znakomity amerykański matematyk, bywało, że podczas zebrania lub wykładu zasypiał. Gdy ktoś robił błąd lub mówił o rzeczy natychmiast się budził. Historia ludzkości zna dawniejsze przykłady nauki przez sen. W starożytnych Chinach nauczyciele szepotali do ucha swym śpiącym uczniom filozoficzne teksty. W 1922 r. oficer, instruktor bazy morskiej na Florydzie, zastosował naukę

przez sen. Zwolennicy takich metod nauczania przytaczają wiele przykładów pozytywnych. Pewien zakonnik amerykański w ciągu dwu lat opanował w ten sposób znakomite język rosyjski. Aktorka francuska, nie znająca w ogóle języka włoskiego, w ciągu jednej nocy nauczyła się długiej roli po włosku. Grupa studentów radzieckich, którą uczono we śnie języka angielskiego w ciągu dwudziestu dwu nocy poznała słownictwo złożone z 1000 słów. Podobno lekcje te nie zaszkodziły zdrowiu i nie zaburzały snu. Natomiast przeciwnicy dowodzą, że podczas snu nie można się uczyć; jest to nawet dla organizmu szkodliwe, bowiem nie pozwala na pełny relaks. Uczeń, śpiąc w napięciu, budzi się zmęczony. Kto ma rację?



Po odgadnięciu krzyżówki litery z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą dodatkowe hasło — myśl Homera.

POZIOMO: 1) smaczna, czerwona dojrzewa w ogródku pod koniec wiosny, 9) rodzaj żyznej gleby, 10) wolnomularstwo, 11) w średniowieczu żołnierz straży przybocznej monarchii, 15) paszowiska, kosmopolityczna roślina zielona żerująca głównie na koniczyńce, 20) solistka zespołu baletowego, 21) stacja telefoniczna obsługująca pewną liczbę aparatów, 22) wulkan w Cieśninie Sundajskiej między Sumatrą i Jawą, 27) stolica Wenezueli, 31) władca Numidii (ok. 240-149 p.n.e.), spowodował III wojnę punicką, 32) zapas, 33) zaćma, choroba oczu.

PIONOWO: 1) zbiorek wierszy, 2) jedno z imion twórcy komedii politycznej „Powrót pastera”, 3) grzyb lub ptak, 4) na ziemniaki, 5) hodowca bydła w Mongolii, 6) choroba lub rzeka, 7) rzeka z naszego województwa zasilająca Narew, 8) przyjęcie towarzyskie wieczorowe zwykle bez tańców, 12) zwój papy, 13) lewa lub prawa na statku wodnym, 14) pieśń żałobna śpiewana w starożytnym Rzymie, 16) pierwotniak z nibynózkami, 17) znane wino produkcji jugosłowiańskiej, 18) jezioro we wschodniej Afryce, 19) starożytne liczydło, 23) część paleniska, 24) gałąź, 25) narzędzie kuchenne, 26) w dzienniczku niesforne ucznia, 27) z arena, artystami i zwierzętami, 28) 20 lib, 29) wygląd, jakość skóry twarzy, 30) poczucie piękna, gustu, harmonii, „HCL”.

Wśród Czytelników którzy w terminie 10-dniowym nadesłali do adresowni redakcji prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy nagrody książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru świątecznego: „WPHW życzy Wesołych Świąt”. Spośród 319 prawidłowych odpowiedzi nagrody rzeczowe wylosowali: prozdu — Teofila CZERNIAWSKA z Opola, żelazko — Edyta KOZŁOWSKA z Łomży, suszarkę elektryczną — Piotr MIKOŁAJCZYK z Jabłoni-Jankowców, kuchenkę elektryczną — Marian BZURA z Kalinowa, czajnik elektryczny — Tadeusz TRABINSKI z Otwocka. Po odbiorze nagród prosimy zgłosić się do redakcji, w każdy wtorek w godz. 9.00-16.00.



Twórcą rozpoczynając swoje życie publiczne nie myśli o tym, aby zyskać poklask i sławę w najbliższym otoczeniu, a nawet jeśli dba o nie, jest to dlań za ledwie próg, przedproże świata. Mniej niż ludzkość nie interesuje mnie — zdaje się mówić każdy młody poeta, malarz czy kompozytor. Dopiero starzy poeci pytają z żalem i nie skrywają niepewnością, czy zna kto ich wiersze w powiecie, a siwowłosi malarze i rzeźbiarze zwożą w rodzinne strony, ocalając z życiowego targowiska, płótna i rzeźby, aby obdarować nimi (nie zawsze tym zachwyconych) krajan.

gdzie

Niewielu jednak odbywa tę powrotną drogę. Ważne jest przy tym wszystko — czas, miejsce, wiek i możliwość pierwszego kroku, który dla debutanta zawsze jest skokiem o nie znanym miejscu lądowania. I choć młodość łatwo podejmuje takie ryzyko, nie wszędzie znaleźć może ona do tego okazję. *Impas głębokiej prowincji, obcej dla każdego środowiska wielkomińskiego, potrzeba zaznaczenia swego istnienia na zewnątrz (...) wytworzyły potrzebę wspólnego szukania dróg prowadzących do celu* — pisał we wrześniu 1981 r. Alfred Sierżputowski w jednodniówce ostrołęckiego Klubu Literackiego „Narew”.

Klub rozpoczął już jedenasty rok istnienia i jest bodaj, poza olsztyńskim „Pojezierzem”, najdłuższą działającą grupą twórców w północno-wschodniej „ćwiartce” Polski. Pewnie że nie bez znaczenia była tu bliskość Warszawy, a także — wsparcie — rozbiegłych po innych wielkich miastach — rodzimych Kurpiów, którzy ojcowskie „piaski, laski i karaski” porzucili dla różnych artystycznych rzemiosł. Najważniejsze jednak było to, że nie wszyscy młodzi ostrołeczanie, zdobywszy wykształcenie, zostawali gdzieś w kraju, lecz wracali do swojego miasta. Choć „Narew” powstał w czasach, w których kluby wyszły już z mody lub legły się do efemerycznej egzystencji, ten trwał, szukając dla swoich członków wszystkich sposobów artystycznego istnienia na miejscu, a z czasem i gdzie indziej.

Poeta, pisarz istnieją przez druk: w gazecie, czasopiśmie, a przede wszystkim — w książce. Tego nie zastąpią setki spotkań autorskich, udział w dziesiątkach imprez, zjazdów, sympozjów; one mogą być jedynie dodatkiem do druku, jego konsekwencją, nigdy — wymiennikiem. W połowie lat siedemdziesiątych kilku członków Klubu przebiło się ze swoimi tekstami do wydawnictw. Po latach ukazały się pierwsze książki ostrołęckich autorów: Edwarda Kupiszewskiego, Tadeusza Machnowskiego, Dionizego Maliszewskiego i Czesława Parzycha. Dwóch z nich przyjęło do Związku Literatów Polskich, co u-

waża się u nas za coś w rodzaju zawodowego namaszczenia.

Właściwie w tym momencie wielu ludzi, szczególnie ze sfer urzędniczych, mogłoby uznać problem literatury w Ostrołęce za załatwiony. Nawet owi namaszczeni także mogliby, wstępując po plecach kolegów z Klubu, udać się w drogę na Parnas. Na szczęście stało się inaczej: przed kilkoma miesiącami bowiem Ostrołęka przestała być jedynym miastem wojewódzkim pozbawionym własnego czasopisma, a Klub Literacki wstąpił jednocześnie na nowy, wyższy poziom swego bytowania. Zaczął mianowicie realizować się jako wydawca.

Niby od dawna wszystko było na miejscu: piszący, drukarnia, papier, a także czytelnicy (*in potentio* — póki co) i państwowy mecenas, ale potrzeba było kryzysu, aby te komponenty złożyły się na książki.

Oto są, starannie wydane, na porządnym papierze, w kremowych okładkach, pod redakcją Dionizego Maliszewskiego i w technicznym opracowaniu Andrzeja Zecera. Nakład — po 500 sztuk — jak na debiuty, rozprowadzane tylko w jed-

Narew

nym województwie, całkiem wydaje się tu wystarczający. Był przecież taki czas, kiedy Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydawał tomiki poetów nie początkujących w zawrotnym nakładzie 800 egzemplarzy, mając debiut na cały kraj, a nawet na cały świat.

poezję

Co znalazłem w ostrołęckich tomikach? U Henryka Bendera w „Polskim świetle” — prosty liryzm, graniczący niekiedy z naiwnością, bardzo młodzieńczy, ale i sciszony nutą melancholii.

ZAKĄTEK

Ani stoję
ani idę
uwieżyły mnie
wszystkie
minuty i godziny
w zakątku ciszy
tu czuję się
najbezpieczniej

W „Cierpkich strofach” Tadeusza Machnowskiego jest poetycki realizm i świadoma tradycyjność, które uświadamiają, że świat naszej codzienności, niezależnie od tego, czy mieści się on już w erze kosmicznej, jest w pierwszym rzędzie parą odwiecznych słabości, śmieszność i blażęństw człowieka.

MAMUSIA

Upadam na pysk — narzekają
mamusia

dźwigając torby wielkie coraz
cięższe
pył kwiatowy na jej ustach wzruszał
fioletem nabrzmiewały ręce
wygrażała: leć z nóg na morde
anioł dobroci kończyły popętały
i na pierś zawiesił order
wieloletni — ciężki jak mordęga
u progu lipca mamusia zamilkła
na wieki wieków a wszędzie obecna:
na filmach w grotach też i
gniazdach wilka
w ciemnościach smutku i nadziei
świeczkach.

Ze „Stacji” Wojciecha Woźniaka przebiega silny temperament satyryka, ironisty, ucieryany w homogeniczną miązgę znaczeń — jako wyraz przewrotnie notowanego poddaństwa współczesnemu światu i karuzeli wartości na nim. W lirykach intymność prowadzi niekiedy do monosylaby obrazu poetyckiego, jak w „Martwej naturze”; do jego nieczytelności prawie.

MISTRZ CEREMONII

obrośnięty rękami cnot
dyrektorskich znówu drze pasy
z języka na powitanie
gości wypiętych i z wkleśniętą
dumą

wspomni coś o
uroczystości w o zdjęciach
z albumu zaszczytów
szanowny toaszu
zaśpiewa i
chór zabulgoce
— odpłyne
z białkami wywróconymi
sino zarastającymi
na wygolonych policzkach
w bryzganiu szklistym pochwał i
toastów

Tytuł zbioru Alfreda Sierżputowskiego — „Wyjęte spod prawa” — zdradza gatunek: satyry i fraszki, a te najlepiej same za siebie mówić powinny.

K+M+B

Tylko dwaj królowie
ale za to — z królowną
tym razem do nas przybyli.
I to — na pewno —
sądząc po ilości niesionych zasobów

przeptywa

(czego ukryć się nie da)
wracając od żobu —
Kryzys
Mortus
i Bieda.

ZAŁĘTA MAŁOMIASTECZKOWOŚCI

Wszelka tu swolocz się uchowa,
— Byleby
miejsca

PORÓWNANIE

Kanada pachnie żywicą?
Ostrołęka też pachnie.
— no i co?

HENRYK GAŁA

wypisy z historii

● 15 I 1863 r. — nieudana „branka”; zdemolowanie w Łomży przez rodu poborowego przez powstańców.

● 22 I 1904 r. — w Drozdach dokonano nieudanego zamachu gubernatora łomżyńskiego, N. Korffa. Organizatorzy zbierali się do domu działacza ludowego, Mikola Moraczewskiego w Krzewie.

● W styczniu 1905 r. założono Łomżyńską Partię Socjalistyczną (pod kierownictwem Stefana Królikowskiego).

● W styczniu 1929 r. ukazał się numer „Gazety Kolneńskiej”.

● W styczniu 1929 r. ukazał się pierwszy numer „Wiadomości Parafialnych”.

● W styczniowych walkach 1919 r. poległo na terenie miasta i powiatu grajewskiego 72 żołnierzy z dzieckich z 50 armii 2 Frontu Bałtyckiego. Po wyzwoleniu ekshumowano zwłoki poległych z pól wojennych i pochowano w zbiorowej mogile cmentarzu parafialnym w Grajewie. Tamże pochowano 389 ofiar terroru hitlerowskiego.

● W dniach 18—20 I 1945 r. facyjacy się pod naporem Armii Radzieckiej hitlerowcy zamordowali poblizu osiedla Prostki 45 osób cywilnych, w tym kobiety i dzieci. Zwłoki zakopano na miejscu kaźni latem 1944 r. zamordowano tam jeszcze 65 osób. W lipcu 1945 r. dokonano ekshumacji zwłok 25 ofiar i pochowano na cmentarzu w Grajewie; zwłoki pozostałych spoczywają na miejscu egzekucji.

● 15 I 1945 r., z rąk nieustalonych bojówek reakcyjnych podziemia zginął sekretarz Komitetu Gminnego PZPR oraz przewodniczący MRN w Ciechanowcu, Tomasz Grabarz.

● 14 I 1945 r. w Białymstoku odbył się I Wojewódzki Zjazd PPR. Uczestniczyło około 300 osób.

● 18 I 1945 r. w Białymstoku odbył się II Okręgowy Zjazd Związków Zawodowych.

● 18 I 1946 r. odbyła się I Powiatowa Konferencja Sprawozdawczo-Wyborcza PPR w Łomży. Uczestniczyło 150 osób; I sekretarzem PPR został Włodzisław Melzar. Powiatowa organizacja PPR liczyła 248 członków.

● W styczniu 1949 r. w 65 gminach woj. białostockiego odbyło się uroczyste otwarcie pierwszych bibliotek gminnych. Każda otrzymała od Ministerstwa Oświaty 455 książek.

● W styczniu 1953 r. powołano do życia Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Białymstoku. Organizatorem archiwum był dr Stefan Słobianiec, a pierwszym dyrektorem w okresie 1953—1965 — Adam Filon.

● 17 I 1949 r. aktywny wiceminister województwa białostockiego obraduje na temat realizacji ustawy o Kongresu Zjednoczeniowym i dotyczących działalności partii na w.

● W styczniu 1965 r. w Białymstoku ukazała się jednodniówka „Kontrasty”. Po sześciu wydaniach „Kontrasty” przekształcono w miesięcznik kwartalny.

● W styczniu 1971 r. w Białymstoku ukazało się pierwsze wydanie jednodniówki „Demeter”, przygotowanej przez zespół tygodnika „Sza Wieś”.

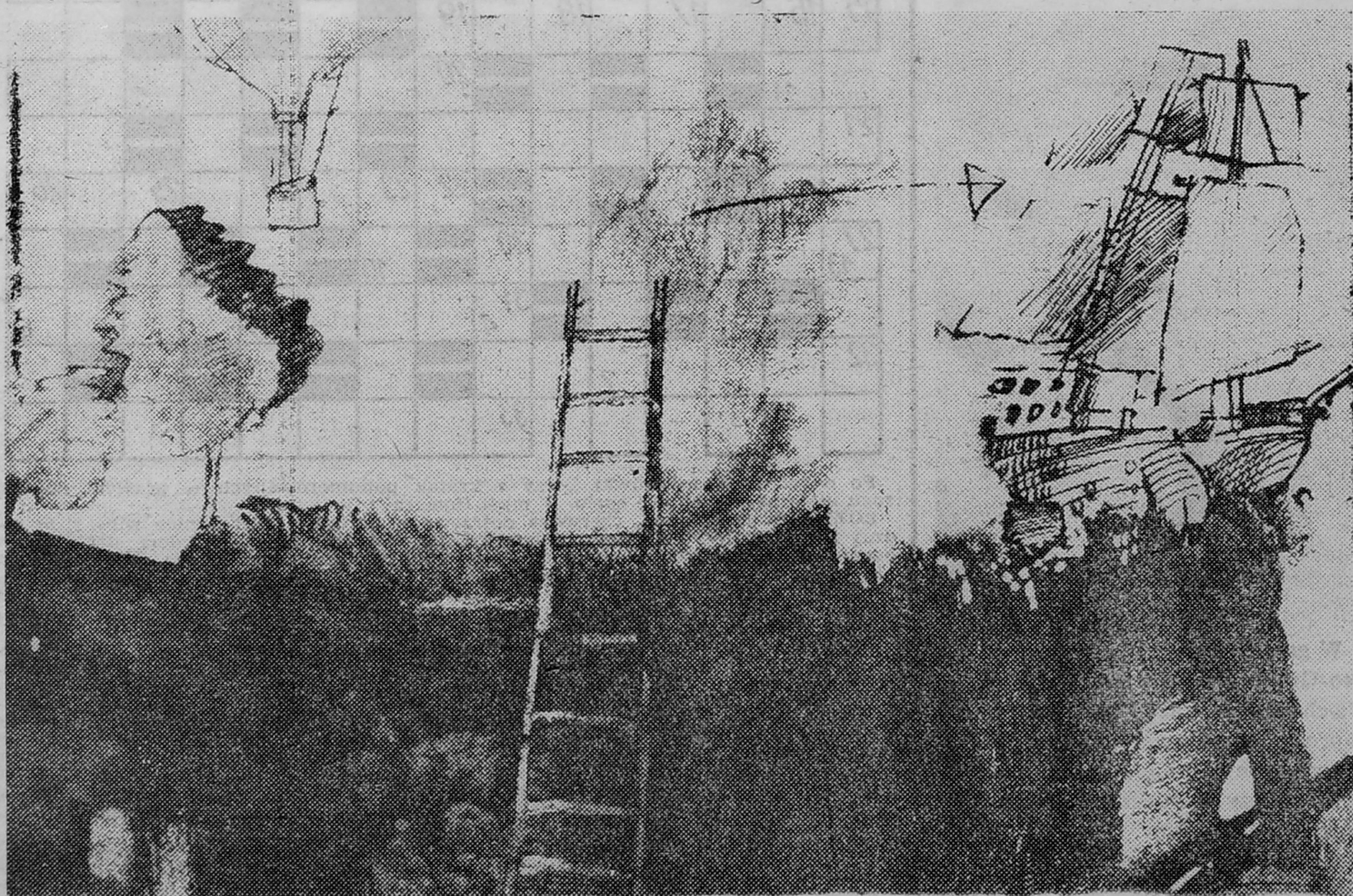
● 22 I 1973 r. w Białymstoku odbyło się pierwsze posiedzenie Komitetu Organizacyjnego Dożynek Centralnych 1973 r.

● 12 I 1945 r. odbyło się pierwsze posiedzenie Powiatowej Rady Narodowej w Łomży.

● W dniach 12 I — 6 II 1945 nastąpiło przeniesienie wszystkich urzędów i instytucji szczebla powiatowego z Zambrowa do Łomży.

● 15 I 1973 r. powstało Łomżyńskie Towarzystwo Fotograficzne, którego założycielem był dr Bolesław Czyżewski (zm. 6 II 1976 r.).

prezentacje



Rys. BOGDAN LITWIN

czar wspomnień

„Dowiedziałem się później, że piękne i rozległe gmachy zawdzięczały swe powstanie Szczukom, od których wzięło początek i nazwę samo miasto; że idąc z Janem III na potrzebę wiedeńską, Antoni Szczuka podkanclerzy W. Ks. Litewskiego słuował wystawić kościół, jeśli Bóg pozwoli mu wrócić. Wrócił szczęśliwie i słu- bu dopełnił, wspinał się niż mógł się spodziewać, król bowiem ofiarował na to dzieło znaczną sumę, a królowa do wielkiego otarza obraz Matki Boskiej darowany przez papieża. W zakrystii wisiały dobre pędzla portrety fundatora i jego małżonki. Podobno przy budowie kościoła zatrudniani byli jeńcy tureccy, których Szczuka przywiózł z wyprawy.

Miasto było nadspodziewanie schludne. Duży czworoboczny rynek, z kępą drzew na środku, miał kilka piętrowych kamienic; było ich jeszcze kilka na ulicy Pocztowej; poza tym parterowe domki murowane; ale częściej drewniane, obrzeżały proste i krzywe, ale czyste uliczki. Tu i ówdzie wśród zieleni stały drewniane dworki. W Ryńku, w wylocie ulicy Gumiennej, musieliście koniecznie zwrócić uwagę na żółtą, jednopiętrową kamienicę o grubych murach i potężnych sklepieniach; był to dom Szczuków, zapewne jednolatek gmachów kościelnych; z czasem stał się zwykłym domem czynszowym, a jednak odbijał od otoczenia jakimś rysem szlachetności i mocy.

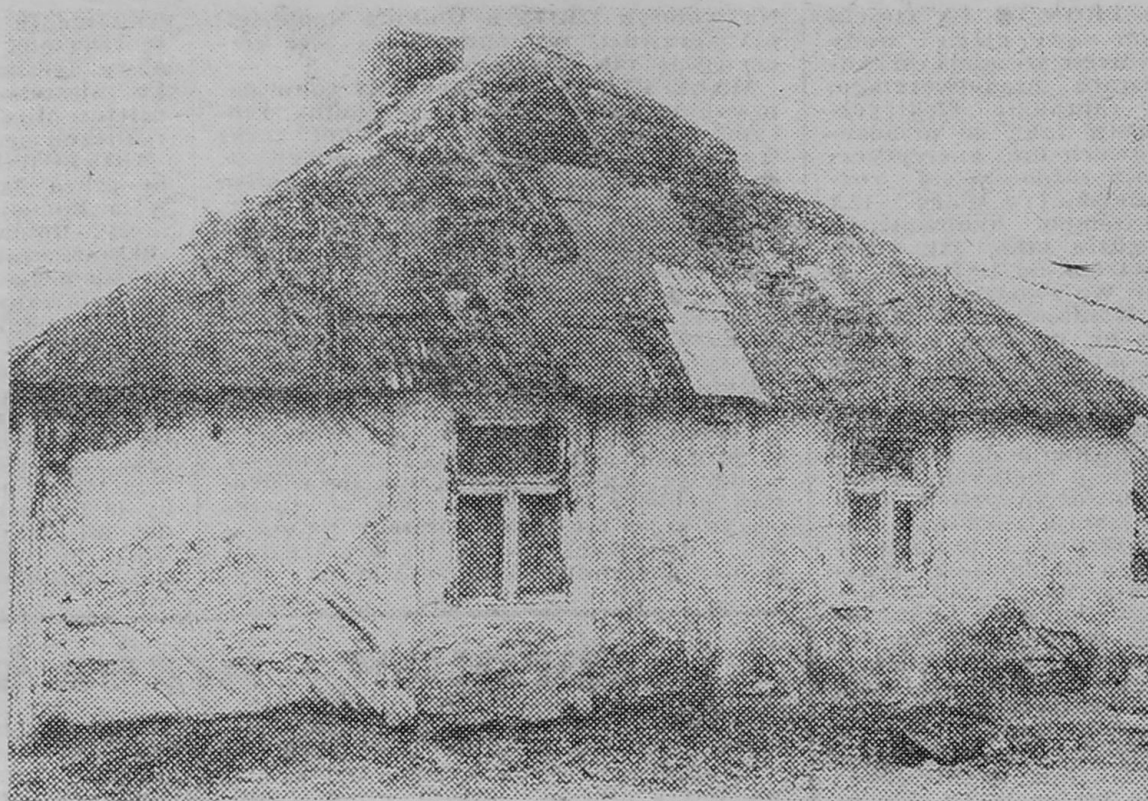
Dobrze mi znajoma wielka szosa szła przez miasto z południa na północ do Grajewa, Rajgródu, Augustowa, Suwałk, Kowna. Od południa dochodziła do miasta równoległe do krawędzi wyniosłości, tak, że jadąc od Łomży, prawie do ostatniej chwili widzieliśmy tylko mury gmachów kościelnych, otoczone wieńcem ogromnych, odwiecznych topoli; dopiero minąwszy po lewej stronie dwa wzgórza z cementarzami katolickim i prawosławnym, zwracało się w prawo, zjeżdżało do miasteczka. Na drugim jego końcu miało się stojący nad stawem, w kępie sędziwych drzew, stary, murowany budynek: zbioru luterski; jeszcze dalej, po tej samej stronie, stały budynki poczty w pełnym swojskim wdzięku stylu Królestwa Kongresowego, podobne do tych, jakie już widywałem wzdłuż głównej drogi mojego dotychczasowego żywota. Dalej szosa skręcała znowu na północ, mijając po lewej ręce długie baraki drewniane; ko- szary i stajnie pułku kozaków; po prawej Gubernię i znikła w cieniu podwójnego szpaleru ogromnych drzew. Gubernia, do której prowadziła piękna aleja, to był piętrowy murowany dwór, w którym dawniej musiał się mieścić zarząd (gubernium) dóbr szczuczynskich, a teraz mieszkali właściciele majątku Szczuczyn, państwo Chojnowscy. [...]

Ulubionym miejscem zabaw (bez dorosłych!) były stodoły. Niedaleko naszego domu, przy starej drodze wąsowskiej, rozłożyło się miasteczko z samych stodoł. Stały rzędami, jedna obok drugiej, stare, omszałe, ledwie trzymające się na podmurówkach z glazów polnych, i średnie, szare i mocne, i nowe, jaśniejsze świeżym drzewem. [...]

Były za Gubernią, na łakach nad- rzecznych, wielkie murowane piwnice; sklepienia się zapadły, mury budowli znikły, zostały tylko w ziemni grube z kamienia ściany. Manius twierdził stanowczo, że to były resztki zwałisk jakiegoś zamku i że, byleby dobrze poszukać, znajdą się w nich zakopane dawno skarby. [...]

Ze Szczuczyna tamtych czasów zostało mi wspomnienie ludzi miłych, kulturalnych, czasami wykształconych, a zawsze tak prawych, jak prostym i czystym było ich życie. Zapewne, w tym wieku mogłem wiele rzeczy nie dostrzegać i wielu nie rozumieć, ale stosunki domowe były tak otwarte, tak nie miały tajemnic, że byłaby przecie jakaś plama czy skaza w pamięci chłopca została. Nie, nie!

(Bohdan Winiarski: „Nad Pissą, Wisłą i Narwią. Podróż sentymentalna”. Kraków 1995 r. Winiarski przebywał w Szczuczynie w ostatnich latach XIX w.; pędził tam beztrudnie życie chłopca).



miasto szczuków

Za sprawą Stanisława Szczuki — Jan III Sobieski wydał 9 listopada 1692 r. przywilej na prawa miejskie dla Szczuczyna. Można fundator wystawił zamek-pałac, kościół i klasztor, a także ratusz; wystarał się o targi i jarmarki, otworzył kolegium. Stracił na tym powiatowy Wąsosz, ale jego klęskę pomściło w drugiej połowie XIX w. Grajewo. Mijały dziesięciolecia i Szczuczyn tracił z wolna blask dawnej sławy, schodząc do rangi ośrodka lokalnego.

Miasto to gospodarne, „przyzwoite” — czy ma szansę odzyskać miano „wyśmienitego”? Współcześni dobrodziejcy mile widziani!

mocna opinia

„Miasteczko nasze wegetuje sobie spokojnie, nie wykazując ani odrobiny życia, ani śladu rozwoju [...]

W tym roku nie urządzono nawet tradycyjnego przedstawienia amatorskiego, z którego dochód zasilał zwykłe kłuby z drzemających instytucji publicznych.

Za to znać wybitny rozwój ilości szynków i piwiarni. Cały rynek główny, otoczony spekulantami, gwałt pijanej czerechy, przekleństwa i krzyki, skąd w dzień targowe wśród kłębów niezdrowych oparów wytaczają się chwiejne postacie z rozognionymi zwierzęco twarzami i pijaną śliną na ustach.”

(„Wspólna Praca” nr 25 z 1910 r.)

powtórka z „POTOPU”

„Rzędzian nie miał zamiaru zostawać na noc w »Pokrzyku«, bo z Wąsosz do Szczuczyna było niedaleko — pragnął więc tylko dać wytchnienie koniom, zwłaszcza tym, które wozy ładowane ciągnęły. Gdy więc Kmicic pozwolił mu jechać dalej, nie tracił Rzędzian czasu i w godzinę później wyjeżdżał już do Szczuczyna późną nocą i opowie- działwszy się strażom, rozstasował się w rynku, bo domy były przez żoł- nierzy zajmowane, którzy i tak nie wszyscy mogli się pomieścić. Ow Szczuczyn uchodził za miasto, ale nim nie był rzeczywiście, nie miał albowiem jeszcze ani wałów, ani ratusza, ani sądów, ani kolegium pijarskiego, które dopiero, za czasów króla Jana III powstało, a domów szczupło i więcej chat niż domów, które dlatego tylko miastem się zwały, że w kwadrat były pobudo- wane tworząc rynek, niewiele zresztą mniej błotnisty od stawu, nad którym mieścina leżała. [...]

— Błazniesz waść — krzyknął Zagłoba. — Wojewoda witebski! ba! ba! Niech żyje wojewoda witebski! [...] A ty, Michale, do ekspedycji! Niechże tu piskorze w tym błocie szczuczynskim zostają, a my pójdziem do Białegostoku, gdzie może i innych ryb dostaniemy... Chyba też tam bardzo przednie Żydzi na szabas wypiekają. No! przynajmniej wojna się rozpocznie. Bo mi już tęskno... A kiedy Radziwiłłem prze- trącimy, to się i do Szwedów weźmiemy! Pokazaliśmy już, co umie- my!”

złota myśl

„Rodacy! Któryśmy się doczekali szczęścia, odzyskać kochaną Ojczy- znę, i to, że tego szczęścia nie po- znajemy i to, że po odrodzeniu się naszym narażeni jesteśmy na roz- maite dolegliwości, skutek jest na- szego nieoświecenia, naszej ciem- noty w drodze życia!”

(Jakub Falkowski, Szczuczyn 1814 r.)

świątynia nauk

Początek szczuczynskiemu kole- gium dał, oczywiście, Stanisław A. Szczuka, który w roku 1696, do nowo ustanowionego miasta, spro- wadził pijarski zakon — „ojców szkół pobożnych”. Fundusz eduka- cyjny zasilili także Jan III, a szeregi uczniowskie wypełnili synowie okolicznej drobnej szlachty. Był tu także konwikt i nawet seminarium nauczycielskie. Historyk napisze, że dopiero z chwilą utworzenia kole- gium zaczęli pojawiać się w tej części Mazowsza „światlejsi obywa- tele”.

Kolegium od 1773 r. podporządko- wano Komisji Edukacji Narodowej. Z raportów wizytatorów wynika, że szkoła składała się z trzech dwule- tniczych klas; uczono w niej arytmety- ki, geometrii i trygonometrii, łaciny i niemieckiego, botaniki, historii i geografii; prowadzono także zajęcia rekreacyjne, w tym i ćwiczenia po- litechniczne. W roli pedagogów wy- stąpiło wielu „mężów oświeconych”, a liczba „szkołników” przekraczała 300. Bywało, że szwankowała frek- wencja („szlachta uboga w czasie robót swoimi posługuje się synami i tych gwałtem prawie ze szkół za- biera”), a poziom nauczania poszcze- gólnych przedmiotów określano jak- o „staby” lub wręcz „nikczemny”. Mniej zastrzeżeń mieli wizytatorzy do miejscowej szkoły parafialnej.

Niestety, po III rozbiórze Polski Prusacy zamknęli już w 1801 r. szczu- czynskie seminarium humanistycz- ne (nauczycielskie), a w dwa lata później — kolegium. To ostatnie re- aktywowano jednak w czasach Księstwa Warszawskiego jako szko-łę podwydziałową (w latach 1807—1816 rektorem był Jakub Falkow- ski, wychowanek kolegium, po la- tach sławny założyciel warszaw- skiego Instytutu Głuchoniemych), a od 1818 r. (już w Królestwie Pol- skim) — jako wydziałowa. Ostatecz- nie w 1836 r. została przeniesiona do wojewódzkich Suwałk, a w gma- chu popijarskim miejsce ławek uc- zniowskich zajęły szpitalne łóżka. Lża się w oku kręci.



różnie bywało

1689 r. — przywilej miejski, a w nim m.in. zachęta do osiedlania się (zwolnienie od danin, cel i podatków na lat 30), żądanie, by miasto „kon- fraternie, cechy, targi i jarmarki miało i handlem bawiło się”, opis herbu (gwiazda złocista na białym polu). Budowę projektowali i pro- wadzili: Francuz de Fleniers, Włosi — Józef Fontana i Józef Piola.

1710 r. — umarł założyciel. Miasto przeszło na własność Potockich i podupadło. W późniejszych okresach należało do gen. Józefa Łączyńskiego, Kisielnickich, Teodora Rzętkow- skiego, Chojnowskich, Miłosków.

1800 r. — porządna zabudowa: 10 ulic i 270 domów, ok. 1850 mieszkań- ców (w tym 178 rzemieślników i 15 kupców), 27 browarów, 4 gorzelnie i 13 szynków.

1807 r. — Szczuczyn w Księstwie Warszawskim i departamencie łom- żyńskim (już wtedy!). Liczba miesz- kańców przekroczyła 2 tysiące i pod tym względem miasto nie ustępowało Łomży. Było dobrze, ale Szczuczyn znalazł się w pasie ogranicza, na peryferiach.

1815 r. — w Królestwie Polskim i województwie augustowskim. Ładny i gospodarczo rozwinięty ośrodek stopniowo zaczął się chylić ku upad- kowi. Wielki pożar 1858 r. strawił 186 domów.

1866 r. — znowu stolica powiatu, od- budowująca się ze zniszczeń. Po- myślną koniunkturę przeżywało Gra- jawo (kolej!), a mieszkańców Szczu- czyna ratowały dochody z przemytu i emigracji. W 1910 r. — 328 nieru- chomości (do 5 tysięcy mieszkańców), w tym 201 żydowskich.

1918 r. — w wolnej Rzeczypospoli- tej i województwie białostockim. Nadal ubogie. „Miasto nie posiada większych fabryk. Funkcjonują 3 młyny parowe oraz 1 wiatrak, fabry- ka mydła, zakłady stolarskie i ślu- sarskie, 4 garbarnie i kilka drobnych zakładów przemysłowych” (1928 r.). Ok. 5 tysięcy mieszkańców.

1975 r. — po zniszczeniach II woj- ny i trudnych latach odbudowy Szczuczyn niewiele skorzystał w okresie „sukcesów”. Znowu w woje- wództwie łomżyńskim z 3 tysiącami mieszkańców.

szczuczyniana

pod redakcją
Adama Dobrońskiego

szczuczyniana